ROK 1
NR 2



NA TROPIE

A. KOSSOWSKI

Hasło dnia dzisiejszego!

W życiu młodzieży nie śmie tkwić bezwład. W jej organizacjach, kołach, drużynach, gminach szkolnych musi się rozwijać praca w szybkiem tempie.

Jeżeli jest inaczej, jeżeli znajdują się w Polsce związki młodzieży, w których nic się „nie robi", winę ponoszą ci, którzy stoją na ich czele.

Trzeba to jasno stwierdzić, wyraźnie powiedzieć: za pracę organizacji odpowiada ten, kto stoi na jej czele.

Jego obowiązkiem jest przodować, dbać o to, by „praca szła", by urzeczywistniano to, co postanowiono.

Dziś też zwracamy się z wezwaniem do młodych kierowników młodzieży, do wszystkich drużynowych, prezesów, komendantów, naczelników.

W stowarzyszeniach, które Wy prowadzicie, nie śmie młodzież spać.

Wy budźcie ją, wy dajcie przykład, wy „róbcie ruch".

Każde kółko, każda drobna organizacja, to cząstka tej wielkiej maszyny, która nazywa się życiem narodu, życiem państwa.

By życie to biegło wprzód i wyprzedziło inne narody, każda jego część składowa musi należycie funkcjonować.

Wy odpowiadacie za swoją organizację. Wam nie wolno dopuścić, by tempo jej pracy osłabło.

Wy musicie zdobyć się na wysiłek postawienia wszędzie pracy „na nogi".

Polska, zaniedbana przez tyle lat rządów zaborczych, nie może pozwolić sobie na luksus pracy dyletanckiej, pracy złej, pracy niedokładnej.

My mamy tyle do odrobienia i tyle do wykonania, że nie wolno nam stracić jednej chwili.

Młodzież Polska pamięta o tem, że w dniu wyborów do Sejmu i Senatu, 4 i 11 marca, wszyscy Polacy, jak jeden mąż, staną do urny wyborczej i oddadzą swe głosy na listy polskie.

Czy wiecie?

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE:

— 12 II. cały świat obchodził szóstą rocznicę koronacji papieża Piusa XI., wielkiego Przyjaciela Polski.

— Wielki hiszpański pisarz, Blasco Ibanez, wygnany z ojczyzny przez rząd gen. Primo de Rivery, którego był zaciętym przeciwnikiem, umarł we Francji.

— Setną rocznicę urodzin Verne'go postanowiły uświetnić dzienniki skandynawskie wysłaniem ekspedycji śladami marszruty z powieści p. t. „Naokoło świata w 80-ciu dniach".

— Znany dobroczyńca Europy Hoover zamierza kandydować na stanowisko prezydenta Stanów Zjedn. A. P.

— W sprawozdaniu rocznem brytyjskiego związku do zwalczania trądu znajduje się wiadomość, że straszna ta choroba będzie uleczalna sokiem otrzymanym z suszonego owocu drzewa „Hidma carpus". Liczba dotkniętych trądem w całym świecie wynosi 4 miljony.

— Rząd Rzeszy Niemieckiej przedłożył parlamentowi memorjał w sprawie reformy ordynacji wyborczej. Memorjał wywołał zaniepokojenie wśród mniejszości narodowych w Niemczech, które obawiają się, że projektowana reforma pozbawi je możności zdobycia mandatów. Polacy posiadają obecnie dwóch przedstawicieli w Sejmie pruskim, nie mają natomiast ani jednego posła w Reichstagu. Zachodzi obawa, że reforma doprowadzi do pozbawienia nawet tych dwu mandatów w Sejmie pruskim.

NOWINY Z POLSKI:

— Odpowiedź Polski na notę litewską z 16. I. wysłano 12. II.

— W ostatnich dniach bawił w Polsce wybitny uczony i publicysta litewski prof. Birżyska, który wygłosił szereg odczytów między innemi w Uniw. Jagiell. w Krakowie. Prelegent przemawiał po polsku. Jest to pierwszy krok ku zbliżeniu obu narodów.

— W lutym przypada 8 rocznica objęcia przez Polskę morskiego wybrzeża, przyznanego jej w traktacie Wersalskim.

— Flota handlowa Polski wynosiła w dniu 1. I. b. r. 33 jednostki, o nośnośni około 40 tysięcy ton. Rząd Polski zamówił w Anglji dwa dalsze statki pasażerskie.

— Najlepszym dotychczas filmem polskim jest „Ziemia obiecana". Wkrótce ujrzymy dwa nowe filmy polskie: „Huragan" — wielki dramat na tle powstania styczniowego 1863 r., oraz „Polonia Restituta" — obraz walk o niepodległość z lat 1918—21.

— Ogólnopolski zlot Zw. Tow. Gimnastycznych „Sokół" odbędzie się w lecie 1929 r. Spodziewane jest przybycie reprezentantów wszystkich organizacyj, zgrupowanych w Międzynarod. Federacji Tow. Gimnastycznych.

— Styczeń należy na Bałtyku do miesięcy o zmniejszonym ruchu, a jednak nastąpił wzrost liczby okrętów, zawijających do portu w Gdyni. Zawinęło do portu 60 statków, w tem 6 polskich, szwedzkich 27, niemieckich 10, duńskich 5, norweskich 5, łotewskich 4, francuskich 2, fińskich 1, w tem próżnych 55. Próżnych odjechało 5. Eksportowano węgiel. Import zaś odbywa się wyłącznie prawie przez Gdańsk. Zawinęło w styczniu 456 statków. Banderę polską zanotowano 20 razy, Gdańską 6.

— Wedle prowizorycznych obliczeń wydobyto w styczniu na G. Śląsku 2,511.662 ton węgla (w grudniu 2,504.280.

— W Danji węgiel polski na II miejscu. Pierwsze zajmuje angielski: 1,125.000 ton, polski 910.000 t., czwarte niemiecki 425.000 t.

— W Sejmie śląskim wygłosił p. Wojewoda Grażyński przemówienie programowe z okazji wniesienia budżetu. W zakończeniu oświadczył p. Wojewoda, że gdy w roku 1922 podzielono Śląsk na dwie połowy, to po tamtej stronie pozostał on jeden i budził ducha narodowego wśród opuszczonych Ślązaków, teraz zaś, objąwszy urząd wojewódzki, realizuje to wszystko, co potrzebne, by Śląsk podnieść pod każdym względem jak najwyżej.

RZECZY POLSKIE WŚRÓD OBCYCH:

— „Pożoga" Kossak-Szczuckiej ukazała się w przekładzie angielskim.

— Znakomita powieść Jana Wiktora p. t. „Burek" przekłada się na język rosyjski.

— Na odbytym w z. r. kongresie badań psychicznych w Paryżu powiedziano, że Polska obfituje w zjawiska medjumiczne i sama jedna dostarcza tyle medjów, co reszta kuli ziemskiej razem.

— W r. b. odbędzie się międzynarodowa wystawa prasy w Frankfurcie nad Menem.

Ponieważ trudno naszymi maszynami i ilością nakładów konkurować n. p. z Ameryką, dział polski kłaść będzie nacisk na historyczny przegląd najstarszych druków i na bardzo okazałą naszą prasę emigracyjną, wychodzącą w najrozmaitszych punktach całego świata.

— We Wiedniu otwarto wystawę Sztuki polskiej.

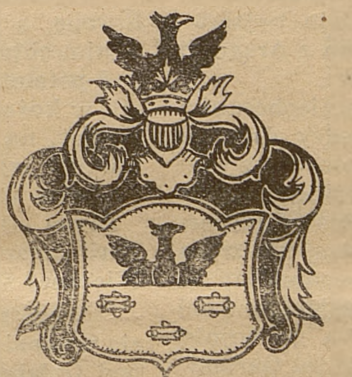
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

NA TROPIE

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Rok 1. Katowice, 25 lutego 1928. Nr. 2.

ZAWISZA CZARNY.



Najwięcej znaną postacią rycerską z okresu wieków średnich to bezsprzecznie Zawisza Czarny z Garbowa, herbu Sulima. W żadnym chyba wypadku nie możnaby wykazać lepiej, jak właśnie na przykładzie sławy Zawiszy, że istotną wartością, jaką przechowują dzieje i nie pozwolą zaginąć w niepamięci danej postaci, — to nic innego, jak prawość charakteru, poświęcenie swego interesu osobistego dla dobra ogółu, wierność swej wierze i ojczyźnie, aż do ostatniego tchnienia. Boć przecież, gdyby temi przymiotami nie odznaczał się „Rycerz z Garbowa", zapewne utonąłby w mgle dziejowej, podobnie jak wielu innych, jemu współczesnych. Wiemy, że nie pochodził Zawisza ani z rodziny magnackiej, ani też ród Sulimów-Garbowskich nie wydał zupełnie osobistości, któreby piastowały w Polsce wyższe urzędy, lub grały poważniejszą rolę w ówczesnem życiu państwowem. Zatem tylko przymiotom i zasługom „Czarnego" przypisać należy, że mógł stanąć w rzędzie najznakomitszych , a nawet im przodować, kiedy u siebie gościł gości królów: czeskiego, polskiego i duńskiego, kiedy jego zaprosinami nie gardzi również i kardynał Branda Castiglione, poseł papieski na dworze Jagiełły.

Nim jednak sława jego i zasługi wzrosły do tych rozmiarów, że o jego osobę ubiegali się potężni królowie, przejść musiał rycerską szkołę i zadokumentować, że prawość i męstwo są jego istotą. Podobnie też, jak cały szereg rycerzy polskich udaje się Zawisza już na początku XV stulecia na dwór Zygmunta Luxemburskiego, króla Czech i Węgier, by w szeregach jego wojsk wypełniać powinności chrześcijańskiego rycerza średniowiecznego, a również i zaprawiać się w rycerskiem rzemiośle, do czego, w ciągłej niemal walce z Turkami, nie brakło sposobności. Wnet dzięki swej dzielności wybił się na czoło rycerstwa, którem tak lubiał otaczać się Zygmunt, lecz mimo wiernej służby królowi węgierskiemu, ani na chwilę nie zapomniał o swem pochodzeniu, ani ojczyźnie, czyto uwalniając z więzienia węgierskiego rodaków, czy prowadząc rokowania dyplomatyczne na korzyść Polski.

Nic przeto dziwnego, że na wieść o przygotowaniach wojennych Polski przeciw Krzyżakom, ani chwili nie waha się, lecz śpieszy do ojczyzny, by swój miecz już doświadczony i sławę zdobytą złożyć na ogólnym ołtarzu. I nie zdołały go odwieść od wypełnienia obowiązku ani prośby Zygmunta, ani hojne obietnice, ani dary, gdyż rycerz wierny swemu słowu i ojczyźnie, stanął w szeregach wojsk polskich, zwracających swój oręż przeciw zdradzieckiemu Zakonowi Niemieckiemu. Nie zatem chęć zdobycia łaski króla, czy też żądza dostojeństw przywołała go do Polski boć przecież nie mógł na to liczyć i z pewnością tego nie pożądał, kiedy pod Grunwaldem widzimy go nie jako wysokiego dowódcę, lecz tylko jako „rycerza przedchorągiewnego", który nie mógł czego innego się spodziewać, jak tylko chlubnego zwycięstwa, lub równie zaszczytnego zgonu na polu bitwy. W pamiętnym tym dniu dla Polski i dla całej Słowiańszczyzny walczy Zawisza w chorągwi ziemi krakowskiej, która dzięki swemu męstwu i wytrzymałości przeważyła szalę zwycięstwa grunwaldzkiego na korzyść Polski. Okryty chwałą nie oddaje się prawy rycerz należnemu odpoczynkowi, lecz z całą gotowością służy królowi Jagielle, czyto jako dworzanin królewski, czy poseł na dworze monarchy węgierskiego. Widzimy go przy osobie Jagiełły również i w roku 1412 na zjeździe w Budzie, gdzie nowe pozyskał wawrzyny, przewyższając dzielnością wszystkich rycerzy, zgromadzonych z całego ówczesnego świata.

Lecz nie sama tylko dzielność i męstwo były zaletą Zawiszy. Bodaj jeszcze większe usługi oddał Polsce i królowi, dzięki swym stosunkom, jakie wyrobić sobie potrafił na dworze króla Czech i Węgier, cesarza rzymskiego narodu niemieckiego, Zygmunta Luxemburskiego. Każdy zjazd, każde rokowania dyplomatyczne prowadzone były przez niego, lub też z wybitnym jego udziałem. Cały szereg korzystnych dla Polski traktatów mówi o jego usługach.

Nie uznaje jednak Zawisza w stosunkach dyplomatycznych kroków sprzecznych z zasadami czci rycerskiej, uważając, że raz danego słowa należy bezwzględnie dotrzymać.

Najlepiej uwidoczniło się to w stanowisku jakie zajął w sprawie uwięzienia czeskiego herezjarchy Husa na soborze w Konstancji. On rycerz chrześcijański, który z głębokiem przekonaniem walczy za wiarę z niewiernymi na Węgrzech, a później w Czechach, podpisał razem z panami czeskimi i swymi towarzyszami, posłami króla Jagiełły, manifest protestujący przeciw uwięzieniu Husa, wychodząc z założenia, że z tą chwilą, kiedy cesarz dał Husowi porękę bezpiepieczeństwa, to przyrzeczenia, mimo wszystko należy dotrzymać. Wprawdzie jego wstawiennictwo na nic się nie zdało, gdyż Hus poniósł śmierć, lecz Zawisza i w tym wypadku okazał swój nieskazitelny charakter i dowiódł, że na jego słowie zawsze można polegać.

Z Konstancji nie wraca do Polski, lecz na prośby cesarza Zygmunta towarzyszy mu w jego podróży na dwór papieża Benedykta XIII, który bawi w tym czasie u króla Aragonji, Ferdynanda w miasteczku Perpignano. Tutaj zdobywa Zawisza nowy wawrzyn do wieńca swej chwały i roznosi chwałę dzielności rycerstwa polskiego, zwyciężając w turnieju najsławniejszego rycerza zachodniej Europy Jana z Aragonji (1417 r.).

Syty chwały powraca po paroletniej nieobecności do Polski, by znowu pośredniczyć między dworem polskim a luxemburskim (w r. 1420) w sprawie wydania wyroku przez Zygmunta Luxemburskiego, który miał położyć kres walce Polski z Zakonem Krzyżackim. Lubo poselstwo to spełzło na niczem, nie zraża się król polski do wiernego rycerza, lecz pamiętny na usługi jakie oddał Zawisza sprawie polskiej w swej dotychczasowej działalności, wynagradza go hojnie, nadając mu starostwo spiskie. Nie ustaje też Garbowski w pracy około utrwalenia pokoju, lecz z całym zapałem prowadzi dalej rokowania między Zygmuntem a Jagiełłą, doprowadzając pod koniec roku 1421 do układu w Tyrnawie na Węgrzech, mocą którego Polska, za pomoc daną Zygmuntowi w walce z husytami czeskimi odzyskać miała Śląsk, jako wiano przyszłej żony Jagiełły, Ofki, królowej czeskiej, wdowy po Wacławie, królu czeskim. Że układ ten nie doszedł do skutku, to nie wina Zawiszy, lecz partji niektórych panów polskich, sprzyjających husytom, którzy pragnęli zapewnić Jagielle koronę czeską i w tym celu znosili się ze stanami czeskiemi. Na wieść o tych rokowaniach, o których Zygmunt dowiedział się za pośrednictwem Jana ks. Raciborza, zrywa król czeski umowę, z powodu czego interwencja Zawiszy nie dała oczekiwanego rezultatu. Nie dość na tem; Zygmunt oburzony podwójną grą, jaką prowadzili panowie polscy, podburza obecnie Krzyżaków, z powodu czego Jagiełło widzi się zmuszony posłać nowe poselstwo z Zawiszą na czele, by ten zapobiegł ewentualnym zatargom. Po przedstawieniu sprawy Zygmuntowi nie powraca Zawisza do Polski, lecz jako rycerz chrześcijański śpieszy razem z szykami cesarza przeciw kacerzom czeskim. Po klęsce wojsk chrześcijańskich pod Kutnohorą (6. I. 1422 r.) cofa się z niedobitkami do Niemieckiego Brodu, by tutaj po zdobyciu miasta przez husytów dostać się w ręce czeskie.

Uwolniony z niewoli wraca do Polski, gdzie przez długi czas już przebywa wysyłany jedynie w poselstwach do Zygmunta, Krzyżaków, czy też Witolda. W tym też czasie, około r. 1424 żeni się z Barbarą Radolińską, synowicą Piotra Wysza, biskupa krakowskiego i w małżeństwie tem doczekał się 3 synów: Marcina, Stanisława i Jana. Niedługo jednak cieszył się szczęściem domowego ogniska. W r. 1428 na wieść o wyprawie cesarza Zygmunta przeciw Turkom, zbiera drużynę i na jej czele śpieszy na Węgry, by i jego, chluby recerstwa chrześcijańskiego, nie brakło między walczącymi za wiarę. Tutaj, w czasie oblężenia twierdzy Gołąbca, kiedy Zygmunt na wieść o zbliżającej się odsieczy tureckiej, cofnął się z większą częścią swych wojsk na drugi brzeg Dunaju, Zawisza pozostaje w straży tylnej, odpierając ataki Turków. Nie dał się skusić namowom cesarza, by porzucił towarzyszów i sam ratował się ucieczką na lewy brzeg Dunaju, lecz wierny honorowi rycerza, staje na czele garstki, by z nią razem ponieść bohaterską śmierć, przenosząc ją nad hańbę ucieczki.

„Tak zginął rycerz znakomity, który w wieku swoim nie miał równego sobie. Głowę jego zaniesiono sułtanowi tureckiemu, ciało zaś odarte ze zbroi pogrzebano w Racowie".

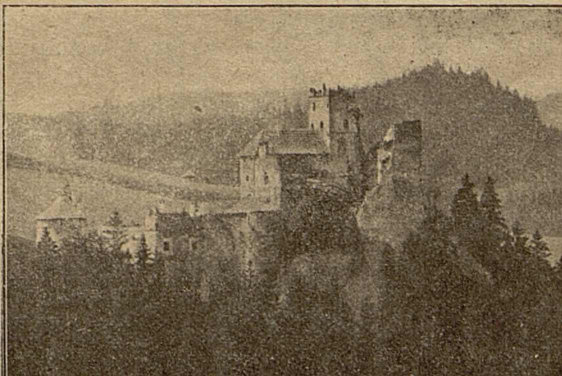
Wiadomość o zgonie Zawiszy szybko obiegła całą Europę, a Polska długo go opłakiwała, straciwszy w nim chlubę i ozdobę. Już współcześni, chcąc go podać potomnym jako wzór do naśladowania, wznieśli mu w kościele O. O. Franciszkanów w Krakowie grobowiec, na którym wyryto napis, opiewający przymioty i czyny „Czarnego", zaczynający się od słów:

„Arma tua fulgent, sed non hic ossa quiescunt,
Divae memoriae miles, o Zawisza Niger!
Herb błyszczy, ale twoje nie spoczywają tu kości,
Wiecznej sławy rycerzu, o Zawiszo Czarny!"

Wkrótce też, mając w pamięci jego zachowanie się w czasie oblężenia Niemieckiego Brodu, i w walce pod Gołąbcem, kiedy nie rzucił swych towarzyszów, by samemu uratować się przed niebezpieczeństwem, ukuto przysłowia: „na nim ci jako na Zawiszy"; polegaj jako na Zawiszy.

W ślad za nim poszli jego synowie, kładąc swe młodzieńcze głowy na polach Warny i Chojnic, w ślad za nim poszedł naród cały stając się przedmurzem chrześcijaństwa, a w czasach dzisiejszych zachodniej kultury.

Nic przeto dziwnego, że do dziś nie zapomniało społeczeństwo polskie o „wzorze rycerstwa", nie zapomni o nim przedewszystkiem harcerz polski, mając w pamięci przykazanie „na słowie harcerza polegaj jak na Zawiszy". *Dr. K. Piotrowicz.*



2 klm. od Czorsztyna, na prawym brzegu Dunajca wznosi się zamek w Niedzicy.

Na śmierć Zawiszy.

Pięć wieków rychło już uleci,
Kiedy — rycerskich broniąc cnót,
Zawisza Czarny — samotrzeci
Walkę ostatnią z Turkiem wiódł.

Poznali Turcy i Uherce,
Co znaczy polska, stara cześć,
Gdy trzeba w krwawej poniewierce
Za świętą wiarę życie nieść.

Nie stało w dzień ten towarzyszy
I bieżał cesarz z wojskiem precz,
Ale do końca był Zawiszy
Wierny — grunwaldzki jego miecz.

Wierne mu było serce własne,
Niebaczne śmierci — próżne trwóg —
I wziął rycerza serce jasne
W miłosne ręce Ojciec Bóg.

Minęły wieki, jak rycerski
Pan na Garbowie odpiął pas
I miecz zawiesił bohaterski
Na djamentowych ćwiekach gwiazd.

Choć ziemia pełna bojów wrzawy,
Choć białych orłów słychać skwir,
Zabył wojennej rycerz sprawy,
Bo w raju wieczny posiadł mir.

I już nie wiedzie w bojów szranki,
Jako za młodych czynił lat,
By spojrzeć dumnie na krużganki,
Gdzie drobne rączki prószą kwiat.

Ani przemierzy w czerni zbroi
Stron cudzoziemskich obcą dal,
Roznosząc sławę ziemi swojej
I rycerskiego słowa stal.

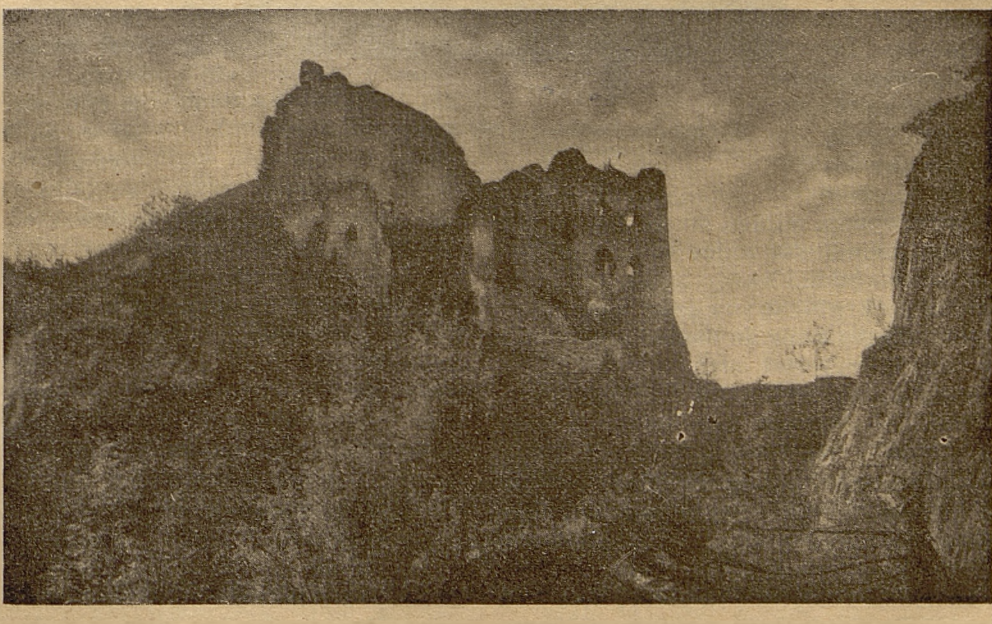
Lecz kiedyś jeszcze... kiedyś może,
Gdy nad Ojczyzną wojny wić
Na wszystkich krańcach ziem rozgorze,
Przestanie rycerz dumy śnić.

Gdy trąb wojennych srogie granie
Pod nowy Grunwald ściągnie lud,
Dawno umarły rycerz wstanie,
Przerwany śmiercią podjąć trud.

Zahuczy gromem w walki noce,
Przygna go czarną chmurą wiatr,
Piorunem miecza zamigoce
Od pól Grunwaldu aż do Tatr!

I miljon ramion się rozpręży,
Aż pójdą wrogie moce w puch,
Gdy rycerz w czarnej swej pawęży
Okrzyknie hasło —
Żywie Duch!

Jan Kazimierz Zaremba.



Ruiny zamku w Czorsztynie. Ongiś siedziba starostwa spiskiego, gdzie Zawisza Czarny gościł cesarza i królów.

Rycerstwo w wiekach średnich.

Mijały wieki całe, zanim ukończył się proces tworzenia się stanu rycerskiego z dawnych, żądnych zdobyczy i rabunku, dzikich wojowników rzymsko-germańskich. Dopiero gdzieś pod koniec XI wieku wytworzył się ostatecznie w zachodniej Europie stan rycerski, zamykając się w sobie, określając swe przywileje, prawa i obowiązki. Proces ten przyśpieszyły niewątpliwie wyprawy krzyżowe a z całą pewnością wytworzyły rycerstwo o charakterze więcej idealno-romantycznym.

Przecież w krucjatach przeciw Turkom brali udział rycerze nie z powodu chciwości lub dla łupów, lecz wiódł ich do Ziemi Św., czy na półwysep pirenejski zapał religijny i dążenie do wyzwolenia grobu Zbawiciela, oraz ziem dawniej chrześcijańskich z rąk niewiernych. W sercach urabiały się szlachetne i wzniosłe uczucia, srodzy i łupiescy żołdacy przeistaczali się w wspaniałomyślnych rycerzy.

W tych też czasach stworzyło się poczucie jedności rycerstwa chrześcijańskiego, a zarazem rodzi się nowe, szczytne zadanie walki za wiarę. Z tego powodu Kościół roztacza pieczę nad rycerstwem, określając rytuał pasowania, dzięki czemu uczestnicy w podniesieniu i uszlachetnieniu godności rycerskiej. I tak, złożenie ślubów rycerskich zobowiązuje rycerza: do oddania swego życia w obronie wiary katolickiej i jej sług, do opieki nad wdowami i starcami, do ochrony dzieci i uciśnionych; rycerz winien strzec się, by nie brał udziału w niesprawiedliwej walce ,natomiast powinnością jego, to wierność dla swego króla, czy księcia oraz dla ojczystego kraju; czyny jego winny być zawsze prawe i służyć jako wzór do naśladowania dla jego giermków. Musi on również odznaczać się dzielnością i przebiegłością, być hojnym dla ubogich, dumny wobec bogatych, natomiast niewiastom winien okazywać zawsze cześć i szacunek.

By godnie odpowiedzieć zadaniom, jakie go czekają, otrzymuje dziecię rycerskie już od zarania swego życia odpowiednie wychowanie. Po ukończeniu 7 lat pod opieką matki, która wpajała w niego uczucia religijne, przechodził chłopiec pod pieczę ojca i od tego czasu zaczyna się jego przygotowanie do przyszłej roli, jaka mu ma przypaść jako rycerzowi chrześcijańskiemu.



Rysunek J. Matejki.
Rycerz na koniu. (Według pieczęci z XIII w.)

Okres nauki pod okiem ojca, czy też najbliższego krewnego trwał przeważnie do ukończenia 15 roku życia. W tym czasie często opuszczał chłopiec dom rodzinny, by w orszaku jednego ze swych krewnych oddawać się wyszkoleniu rycerskiemu. Obejmowało ono siedm umiejętności a to: jazdę konną, pływanie, strzelanie z łuku i kuszy, walkę wręcz, sokolnictwo (zaprawianie sokołów do łowów ptactwa), grę w szachy i składanie rymów. Odpowiednio do przyszłego zawodu kładziono nacisk przedewszystkiem na wyćwiczenie w użyciu broni, na sztukę władania mieczem, tarczą, oszczepem i kopją. Po nabyciu pewnej sprawności przechodzono do praktycznego zastosowania, ucząc młodzieńca polowania na dzikiego zwierza, kuszą, łukiem i oszczepem.

Ze względu na znaczenie, jakie dla rycerza posiadał rumak, otaczano troskliwem staraniem naukę jazdy konnej, co było o tyle ważnem, że rycerz, który nie chciał uchybić swej godności posiadać musiał ognistego wierzchowca, pełnej krwi.

Podczas gdy wychowaniu fizycznemu poświęcano tyle uwagi, to na rozwój umysłowy niewiele zważano. Płynęło to stąd, że prawie do końca wieku XII sztuka czytania i pisania była nieomal wyłącznie umiejętnością stanu duchownego; rycerz w tym okresie poczytywałby sobie za ujmę, gdyby nazwano go uczonym. Od wieku XIII stan ten jednak dzięki rozwojowi na dworach królewskich i książęcych poezji bohatersko-lirycznej oraz muzyki, komponowanej przez wędrownych rycerzy t. zw. „trubadurów“, z roku na rok ulega poprawie tak, że już pod koniec XIII wieku rycerz nie poczytuje sobie za złe przeczytanie książki, o ile mu na to pozwalają jego zajęcia wojenne. Niedługo później chłopiec rycerski z ziem zachodniej Europy winien znać sztukę czytania i pisania oraz język łaciński, a jeśli nie był Francuzem, również i język tego narodu.

Nie zaniedbywano również kształcenia religijnego i obyczajowego. Dwie zasadnicze cechy wpajano w młode serca: prawdomówność i wierność, wychodząc z założenia, że słowo męża godnego tej nazwy winno być zawsze bez fałszu i stałe. Wierność zaś niezłomna dla swego zwierzchnika była tą siłą ożywczą rycerstwa średniowiecznego, które niepomne na ża-

dne trudy i niebezpieczeństwa idzie za swym księciem, czy królem wszędzie, spełniając nawet to, przed czem wzdrygać się mogła cała jego natura.

Z piętnastym rokiem życia kończył się wiek dziecięcy. Dziecko uznawano już chłopcem i od tego czasu dostawało nazwę giermka. Godności tej przysługiwało już prawo noszenia broni, a różnica między rycerzem polegała tylko na tem, że giermek nie mógł nosić jeszcze pełnego, bogatego ekwipunku rycerza, nie posiadał pasa ni ostróg rycerskich, nie mógł dosiadać ciężkiego bojowego rumaka ani ozdabiać swego oręża.

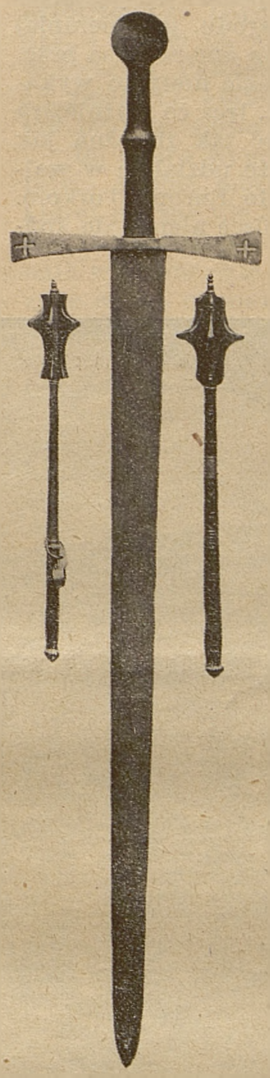
By zdobyć ostateczne wyćwiczenie rycerskie, a zarazem zapoznać się ze zwyczajami dworów, udawał się młody giermek na dwór panującego, który przydzielał go jednemu z pasowanych rycerzy. Z tym razem wyprawiał się on w każdą podróż, z nim brał udział w turniejach i bitwach. W czasie marszów nosił kopję rycerza i prowadził bojowego wierzchowca, którego ten dosiadał tylko ruszając w bój. W czasie walki znajdował się giermek za rycerzem, pilnie bacząc na jego bezpieczeństwo, a w groźnej chwili ruszał mu z pomocą. W ten sposób w surowem posłuszeństwie kończono naukę młodzieńca we wszystkich rodzajach służby wojennej.

Równocześnie, w czasie pokoju uczono go wytwornego zachowania i posług na dworze książęcym. Do obowiązków giermka należało pomaganie panującemu przy ubieraniu i rozbieraniu się, roznoszenie potraw i napojów pod okiem zwierzchniem stolnika i podczaszego, po uczcie zaś podawanie miedniczek z wodą, celem umycia rąk. Oni też witali gościa, odbierając od niego zwierzchnie okrycie i broń, oni przy pożegnaniu po uczcie przytrzymywali konia i strzemię odjeżdżającemu rycerzowi. Prócz tego w czasie wojny i pokoju używani byli za gońców, co było ze względu na ustawiczne rozboje jednym z najniebezpieczniejszych obowiązków giermka.

Jeśli przepisy odnoszące się do wychowania fizycznego były tak dokładnie określone, to jeszcze w większem stopniu ujawniało się to w nauce form zachowania się w towarzystwie. Niemal każdy krok winien być w tym wypadku postawiony według ceremoniału z góry określonego. Zatem pielęgnowanie piękności i układu ciała, sposób pozdrowienia, jak niemniej i wyrażania się ujmowały osobne przepisy.

Za nieprzyzwoitość natomiast uważano gestykulację w czasie romowy; ręce należało składać na piersiach; nie wolno było przy kobietach zakładać nogi na nogę. Nawet jeździec musiał na koniu przybrać przepisaną pozycję. Rycerz dobrze wychowany winien patrzeć z konia przed siebie, a Boże uchowaj nigdzie w bok lub na ziemię. Jeśli spotka damę idącą pieszo winien zeskoczyć z konia; skoro ta się zbliży, powściągnąć ma rumaka, by przypadkowo się nie przestraszyła. Giermek powinien baczyć, by w czasie jazdy konnej nie obrzucał błotem lub pyłem rycerzy lub dam, jeśli podróżuje w ich towarzystwie.

Rozmowę rycerza zdobić miał wdzięk i umiarkowanie. Średniowieczne przepisy grzeczności w ten sposób określają tę zaletę: „nagół bądź w rozmowie powściągliwy, gdyż tylko dobrze przemyślane słowa przyjmują słuchacze z przyjemnością. Mów wdzięcznie, ani nie za głośno ani nie za cicho, a czekaj sposobności do wzięcia udziału w romowie; gdzie bowiem dużo ludzi naraz romawia, byłoby głupotą mieszać się w nieodpowiednim czasie do dyskusji. Między mądrymi winieneś siedzieć cicho i strzec się, by niepotrzebnie się nie śmiać, gdyż, kto mówi między uczonymi o rzeczach błachych, zaś między prostakami o poważnych, nigdy nie będzie zrozumiany. W czasie podróży każdego przechodnia należy uprzejmie pozdrowić, gdyż to nie jest ujmą dla rycerza, lecz owszem podnosi jego wartość wobec ludzi".



Ze zbiorów Muzeum Ks. Czartoryskich w Krakowie.

Miecz dwureczny z XIV w. Dwa Buzdygany z XV w., stanowiące jeszcze broń pod koniec średniowiecza; później odznaka godności wojskowej.

Niepodobna nie wspomnieć również, jak dodatni wpływ wywierały kobiety od początków XIII stulecia na życie i zwyczaje rycerstwa. Dzięki ich obecności na ucztach, turniejach i innych zabawach średniowiecznych, łagodniały surowe natury wojowników, a młody giermek, już na początku swego zawodu rycerskiego przyzwyczajał się do godnego i przyzwoitego obcowania ze starszymi i swymi towarzyszami. W dużej też mierze było zasługą kobiety, że za ideał wychowania uważano harmonijne połączenie w istocie rycerza: dzielności i dworskości.

Okres nauki giermka w sztuce wojennej i towarzyskiego współżycia, obejmował okres 5 do 6 lat. Przed ukończeniem tego czasu wyjeżdżał dorastający już chłopiec w dalekie nieraz kraje (do Palestyny, Hiszpanji, a później w wieku XIV i na początku XV w kraje Zakonu Krzyżackiego), by w nich szukać jużto przygód rycerskich, jużto szerzyć wiarę Chrystusową.

Po ukończeniu 21 roku życia osiągał giermek pełnoletność. Teraz, jeśli panujący, którego przywilejem było uznanie, czy młodzieniec godny jest zostać rycerzem godził się na pasowanie, przystępowano do tej tak upragnionej przez giermka uroczystości.

Z aktem pasowania na rycerza łączyło się na zachodzie zazwyczaj nadanie ziemskie, dzięki czemu rycerz obdarowany dobrami (beneficium) popadał w zależność lenną od swego nadawcy stając się jego poddanym (wasalem).

W odmienny natomiast sposób ułożyły się stosunki stanu rycerskiego w Polsce. Tutaj z powodu nieznajomości porządku feudalnego (zależności poddańczej słabszego od mocniejszego i z tem połączonego nadania ziemskiego) sam akt pasowania miał znaczenie wyłącznie moralne.

Stan rycerski rozwija się zresztą w Polsce stosunkowo dość późno. Dopiero pod koniec wieku XIV, niewątpliwie pod wpływem dynastji węgierskich Andegawenów, zaczynają się przyjmować u naszej

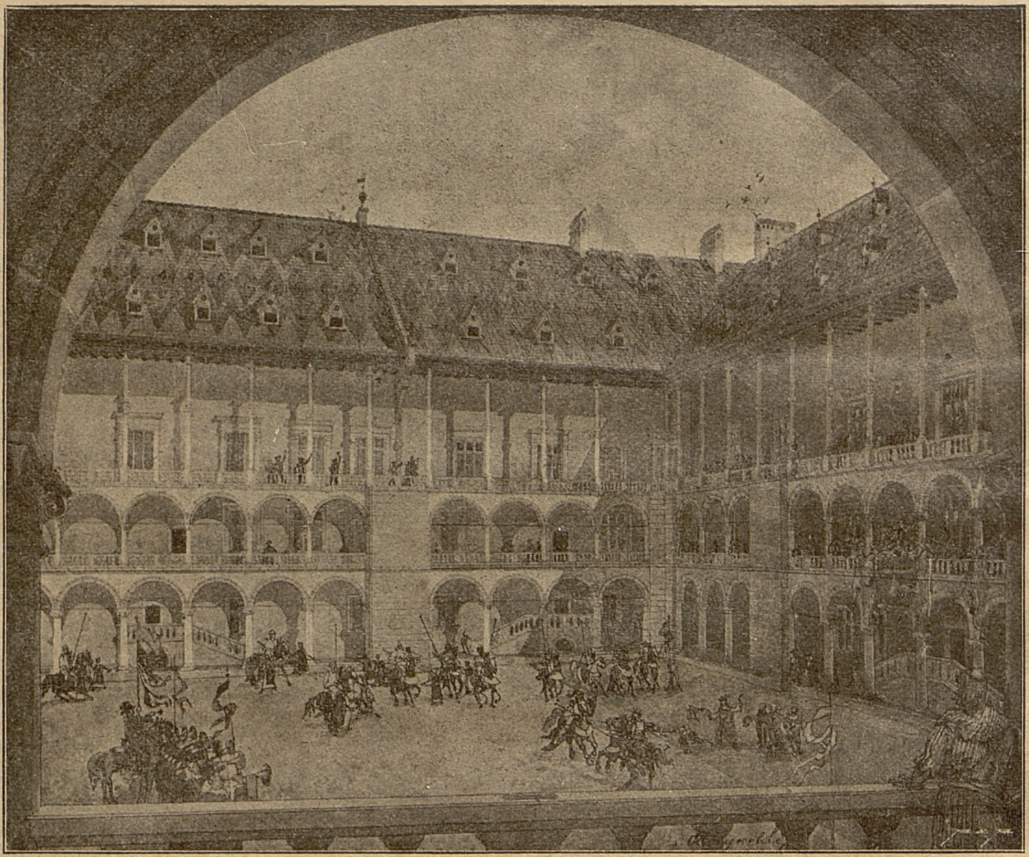
szlachty obyczaje rycerskie; od tego czasu słyszymy dopiero o szlachcie rycerzach. Nic przeto dziwnego, że w tym czasie, kiedy na zachodzie w zmierzch zachodzi typ rycerza średniowiecznego, w Polsce zaczyna się jego najświetniejsza era. Trwała ona jednak bardzo krótko, gdyż ledwie pół wieku, od początku XV stulecia do drugiej jego połowy.

Mimo tak krótkiego okresu zapisało się rycerstwo nasze chlubnie tak w dziejach narodu, jak niemniej i całej chrześcijańskiej Europy. Ma ono za sobą przecież zwycięstwo grunwaldzkie, gdzie nietylko wykazało swe wyszkolenie i sprawność, lecz co ważniejsza wielką wytrzymałość i odporność tak fizyczną jak i duchową. Pochlubić się ono może udziałem w walkach przeciw wdzierającym się do Europy Turkom, z którymi ścierać się przyjdzie Polsce niemal do końca jej niepodległego istnienia.

Lecz na chwilę, gdyż tylko pod Grunwaldem, Niszem i Warną wystąpiło ono na szerszej widowni, by w parę lat później wrócić do dawnych ziemiańskich zajęć, do uprawy rodzinnej gleby.

Już w okresie wojny trzynastoletniej (1454—1466) z Zakonem Krzyżackim nastąpiło zupełne załamanie stanu rycerskiego. Szlachta pomna swych przywilejów woli raczej w pracy na roli i w gardłowaniu na zjazdach szukać sławy, niż na polu nielitościwej walki. Zanika zatem i w Polsce typ rycerza, który lat tylko kilkadziesiąt przedłużył istnienie jego w zachodniej Europie, a na miejsce jego zjawia się żołdak najemny, który gotów służyć wiernie każdemu, kto jego trudy i przelaną krew sowicie opłaci.

Z. L.



Rekonstrukcja prof. Odrzywolskiego.

Turnieje i gonitwy rycerskie na dziedzińcu Zamku Wawelskiego.

Henryk Antoni Lorenz.

— W pierwszych dniach lutego zmarł w Haarlem Henryk Antoni Lorenz, laureat Nobla, członek francuskiej Akademji Nauk, uczony, którego sława dotarła do każdego, kto tylko zajmował się fizyką.

Urodzony 18 lipca 1853 r. w Arrheim nad Renem już jako 19 letni młodzieniec wykłada w szkole miejskiej rodzinnnego miasta. Mimo to jednak studja uniwersyteckie kończy i w 1875 r. zostaje doktorem uniwersytetu w Leyden, a w parę lat później otrzymuje katedrę fizyki teoretycznej w tej samej wszechnicy.

Uczony ten zajmował się wiele atomem i materją. Zbadał dokładnie ruch elektronów w atomie. Studja te naprowadziły go też do świetnych odkryć w dziedzinie światła.

Skład światła — twierdził — które ciało emituje, zależnym jest od atomów. Jego też zdobyczą jest, że promieniowanie wydawane przez ciała musi ulegać zmianom i odchyleniom elektromagnesu.

Zajmował się również termodynamiką, grawitacją i relatywizmem.

Odszedł — imię jego zostanie.



SŁOWO RYCERZA.

Pięćset lat mija od chwili, gdy zginął Zawisza, by słowa dotrzymać. Pięćset lat — pomyślcie! Ile zmieniło się odtąd na świecie, ile wody w rzekach przepłynęło, ilu ludzi narodziło się i pomarło.

Tyle burz wstrząsnęło światem, klęsk żywiołowych i wojen wielkich — tyle odkryć sławnych zmieniło oblicze ziemi, że gdybyśmy dziś mogli jakąś mocą cudowną wskrzesić człowieka z przed lat pięciuset, nie poznałby świata, który go otacza. Pomyślcie, ile wielkich wynalazków dokonano, jak wielki nastąpił rozwój techniki. Dziś z wyżyny postępu naszego i wiedzy, z pobłażliwym uśmiechem patrzymy na tych ludzi dalekich, co gazet nie czytywali, nie słuchali radja, a listy posyłali tylko w bardzo ważnych okolicznościach. Zmieniło się wszystko — czy rzeczywiście wszystko?

A może nie wszystko przemija, nie wszystko złudne jest i krótkotrwałe. Przez mroki wieków, przez czas, który tyle zniszczył i zniweczył, jak gwiazdy niezmienne na firnamencie, błyszczą ku nam obrazy i postacie przeszłości.

Nie był bogaczem Zawisza Czarny z Garbowa — zaszczytów i dostojeństw nie piastował żadnych. Rycerzem był, wiernym honorowi i ojczyźnie. A pamięć o nim przez tyle wieków przetrwała, podczas gdy wielu możnych zaginęło w mrokach przeszłości, bo umiał Zawisza dotrzymać słowa!

Minęły wieki rycerskie — zszarzało i spowszedniało życie — nie walczą już rycerze samotrzeć i w pojedynkę — nie łatwo wejść w ślady Zawiszy.

A jednak i dziś jak przed wiekami jedna jest prawda, i dziś by umieć dotrzymać słowa, rycerzem trzeba być z ducha. Bo ciężko nieraz bardzo wśród trudów wszelkich i przeciwności, wśród drwin i obojętności, być wiernym danemu słowu. Możeby nawet i czasem łatwiej się zdało życie położyć w ciężkiej potrzebie, niż walczyć ciągle wśród szarej codzienności, by prawdzie wiernym pozostać.

A trzeba wytrwać! Trzeba wytrwać, bo o rzecz najważniejszą chodzi — czy życiem naszem służyć będziemy prawdzie wiecznej, czy też powiększymy otchłań kłamstwa, w której świat tonie. Trzeba wytrwać — tu niema półśrodków.

I niema spraw błahych, małoważnych obietnic, drobnych przyrzeczeń. Kto nie umie dotrzymać słowa w rzeczy małej, nie dotrzyma go też w wielkiej i ważnej. Kto oszuka w szkole kolegę, czy nauczyciela, oszustem zostanie w przyszłości. Twarde słowa — prawda?

A jednak wierzcie, że tak jest — nie można prawdzie służyć tylko w połowie — całem sercem poświęcić się jej trzeba już od dzieciństwa. Zaszczytów nie przyniesie wam to ni majątku, lecz coś, co warte stokroć więcej — imię niesplamione, honor bez skazy, prawego następcy Zawiszy miano.

Więc służmy prawdzie — służmy bezwzględnie, stanowczo. Pamiętacie legendę o św. Antonim, co przez zbójców napadnięty przysiągł, że niema pieniędzy, a potem na wolność puszczony, grosika znalazł w kieszeni. Pamiętacie, że święty wrócił do zbójców i z żalem im kłamstwo swe wyznał niezawinione — tak prawdę trzeba kochać, tak cenić swe słowo.

Bo słowo wypowiedziane to wielka rzecz, słowo fałszu zgubić może człowieka, krzywdę wyrządzić, której już nic nie naprawi. Więc czuwać trzeba nad tem, co mówimy, cenić swe słowa, gdy chcemy, by nam wierzono. Nie wiele ten zrobi na świecie, kto języka swego opanować nie potrafi.

A wiecie, że nie tylko słów swoich strzec musimy — więcej jeszcze niż słowa, fałsz szerzą w świecie uczynki kłamliwe.

Kto lepszym się wydać chce, niż jest w rzeczywistości, kto w oczach ludzkich dla chwały i próżnej korzyści inaczej postępuje jak wtedy, gdy nikt go nie widzi, kto pracę cudzą za swoją podaje — ten kłamie uczynkami swemi. Nie będzie prawym człowiekiem, kto nieświadomość cudzą, dla swojej potrafi wyzyskać korzyści. Choćby był mądry, wykształcony, bogaty — niegodzien szacunku kłamca, nic nie zastąpi mu czci utraconej.

Lecz jak poznać prawdę, jak odróżnić ją od fałszu i kłamstwa, by nie zbłądzić?

Od siebie samego zacząć trzeba krzewienie prawdy, wobec własnego sumienia jasno stawić każdą kwestję. Trzeba umieć powiedzieć sobie prawdę, choćby twardą i przykrą była — nie dać oszukać się własnej naszej słabości. A gdy wątpliwość rozstrzygnąć przyjdzie, nie bawcie się w słów wiele i rozważań. Miejcie odwagę powiedzieć jasno „tak“ albo „nie“ — i koniec. Bo im słów więcej powiemy wykrętnych, tem pewniej zaginie wśród nich prawda. Więc niech nie będzie niejasności w naszem sumieniu, niech nie będzie ich w słowach i uczynkach naszych.

Umiejmy wytrwać wiernie wobec samego siebie — umiejmy służyć prawdzie jak służył jej Zawisza — aż do śmierci.

Nigdy nie będzie Ci żal:

- życia bez zmazy,
- uprzejmości dla wszystkich,
- rozejrzenia się przed skokiem,
- wysłuchania obu stron przed wydaniem sądu,
- namysłu przed rozmową,
- czystych myśli,
- wspaniałomyślności wobec wroga,
- zamknięcia uszu na obmowę,
- przeproszenia, gdy nie masz słuszności,
- dotrzymania obietnic,
- uczciwości w przedsięwzięciach,
- pomocy udzielonej słabym i nieszczęśliwym,
- wytłumaczenia życzliwego czynów bliźniego
- ciągłego doskonalenia.



Opowieść E. le Breton Martina, przerobił M. M.

Streszczenie: Harcerz, Janek Sianowski, wyszedł wieczorem z gajowni naprzeciw ojca, który powinien był już wrócić z lasu. Na zmoczonej deszczem drodze odszukał ślady ojca i szybko podążał za niemi. W tem doszedł go zapach dymu. Zdziwiony tem, kto o tej porze pali w lesie ogień, postanowił rozwiązać tę zagadkę. Ogień palił w starym opuszczonym kamieniołomie jakiś młody chłopak. Na wołanie Janka nie odpowiedział on jednak, lecz uciekł w las. Obok ogniska leżał bez przytomności ciężko ranny gajowy.

Nowa zagadka.

(Ciąg dalszy.)

Staszek Grzegorzewski nagle się przebudził, gdyż ktoś nim mocno potrząsał. Widząc jednak w świetle księżyca jakąś ciemną postać, schyloną nad łóżkiem, pomyślał, że to pewno jakiś złoczyńca, który przez otwarte okno wkradł się do pokoju. Zerwał się więc odrazu z łóżka i rzucił się na nieznanego gościa, składającego mu wizytę o tak późnej godzinie.

Ale, o dziwo! Przeciwnik zupełnie się nie bronił, toteż w jednej chwili leżał, jak długi na podłodze i wtedy dopiero zdołał wykrztusić ze ściśniętego gardła parę słów, które zmusiły Staszka do zaprzestania walki. Ze zdumieniem poznał głos swego przyjaciela, Janka Sianowskiego.

„Na Boga! To Ty! — zawołał, szybko powstając. — „Co tu robisz w nocy? Którędy się tu dostałeś?"

„Wspiąłem się po rynnie" odpowiedział Janek. — „Przybiegłem z czernickiego lasu. Ubieraj się! Ktoś napadł na mego ojca i ciężko go zranił". I kiedy zastępowy „Wyder" w pośpiechu wkładał ubranie, jego zastępca opowiedział mu krótko całe zdarzenie.

„Zrazu — mówił — myślałem, że ojciec leży zabity, ale na szczęście żyje. Musi być tylko ciężko raniony, bo stracił przytomność. Co miałem robić. Sam nie dam rady przenieść ojca do gajowni i co sił biegłem więc do Ciebie".

„A tego chłopca, który uciekł z parowu, nie widziałeś już potem? On z pewnością zranił Twego ojca" — pytał dalej Staszek.

„Zupełnie o nim zapomniałem, gdym ujrzał ojca. — Słuchaj, co my teraz poczniemy?" — troskał się Janek.

„Wiesz, zbudzę ojca — odrzekł zastępowy. — Weźmiemy nosze i przyniesiemy rannego tutaj. Ty tymczasem na moim rowerze jedź po lekarza. Poproś go, by swoimi końmi podjechał jak najbliżej lasu. Spiesz się tylko! To wszystko jest dziwne. Nie wiem sam, co mam o tem myśleć".

Więcej jeszcze zdziwił się dziedzic, Grzegorzewski, gdy go zbudził syn, zupełnie ubrany. Ale parę słów Staszka wystarczyło, by w parę minut był gotów do wyjścia. Za chwilę spieszyli już obaj na miejsce wypadku z noszami, które dotychczas służyły do ćwiczeń w pierwszej pomocy.

W dwadzieścia minut później gwałtowne dzwonienie pobudziło wszystkich mieszkańców w domku doktora Wyszomirskiego. Pierwszy wyskoczył syn lekarza, Witek i wychylił się z okna. Na drodze stał Janek Sianowski z wypożyczonym rowerem. Księżyc wyraźnie oświecał jego twarz, wzniesioną ku górze.

„Hallo! Janek! — zawołał Witek do swego przyjaciela — co... — ale w tej chwili w oknie sypialni ukazał się lekarz i Janek począł mówić.

„Panie Doktorze! Może Pan i Witek pójdziecie zemną do czernickiego lasu. Mego ojca ktoś napadł i ciężko zranił. Pan Grzegorzewski prosi, by Pan wziął swoje konie i czemprędzej jechał do lasu".

* * *

Tymczasem obaj Grzegorzewscy szli szybko w milczeniu ścieżką, wijącą się w gęstwinie młodego lasu. Trawa głuszyła ich kroki. Nagle stanęli. Z prawej strony doszedł ich odgłos kroków. Ktoś przedzierał się przez poszycie lasu. Słychać było trzask gałązek, a nawet i sapanie kogoś, kto chciał zapewne wyjść na ścieżkę. Dziedzic, złożywszy nosze na ziemi, chwycił syna za rękaw i pociągnął za wielki buk. Był już najwyższy czas na ukrycie się.

Księżyc właśnie wychylił się z za chmur i oświetlił jasno ścieżkę. Za chwilę ukazał się oczekiwany. Był to niewysoki, ale silnie zbudowany mężczyzna, w szerokim słomianym kapeluszu na głowie.

Na jego widok dziedzic wyskoczył z ukrycia i zawołał groźnie.

„Szczawiński! Co wy tu robicie o tej porze?!"

Pod chłopem zadrżały nogi z przerażenia. Przez chwilę nie mógł słowa wymówić, zdawało się, że chce wziąć nogi za pas i uciec, jak najdalej, ale wreszcie się opanował i rzekł, nadrabiając miną:

„Ja... ja mogę pana o to samo zapytać!"

„Owszem ja tu jestem na swoim gruncie, a wy w cudzym lesie" — brzmiała ostra odpowiedź.

Widać było, że cygan waha się z odpowiedzią, wreszcie odezwał się pokornie:

„Po prawdzie, panie, coś się tu w lesie dzieje. Jużeście słyszeli o tej bandzie..."

Staszkowi wyrwał się okrzyk zdziwienia.

„Mówcie dalej!" — badał dziedzic ostro.

Szczawiński wskazał ręką na drogę: „Ja ta wracam teraz do domu — ale kto wie, czy się gajowemu co nie przydarzyło..."

„Z pewnością coś o tem wiecie — rzekł Grzegorzewski — najlepiej chodźcie z nami. Idziemy do kamieniołomu. Co to za banda, o której wspomnieliście?"

Trójka ruszyła naprzód. Szczawiński zerknął parę razy na nosze. „Powiem wam, panie, wszystko co wiem — rzekł wreszcie. — Dziś wieczorem poszedłem daleko w las, by wyrąbać parę jesionowych tyczek dla jednego znajomego. Nagle usłyszałem czyjeś kroki. Przystanąłem. Patrzę, a tu idzie jakiś młody rudy włóczęga. Ja tu już go parę razy widziałem. Za chwilę ukazał się gajowy i począł na nieznajomego krzyczeć...

Nagle ten rudy uderzył gajowego. Ja wtedy uciekłem... Niewiele wiem, to wszystko..."

„Widzę, — odparł dziedzic zimno — że jesteście gorszym, niż myślałem. Dlaczegoście nie pobiegli Sianowskiemu na pomoc? A jak się ten rudy nie znajdzie, a gajowy będzie zabity, to co...!? — Czem ten człowiek go uderzył?"

„Ugodził go w głowę wielkim obuchem — mruczał Szczawiński niewyraźnie. — A co Sianowski zrobił mi dobrego, bym ja mu szedł na pomoc? Zawsze mnie podejrzywał, że ja jeden z całej wsi zastawiam sieci na króliki".

„Szczawiński! Nie tylko o króliki chodziło... Ale wracajmy do rzeczy, gdzie ten chłopak?"

„A cóż ja mogę wiedzieć" — burknął cygan.

Staszkowi zdawało się, że twarz jego jak gdyby zbladła, ale mogło to być tylko złudzenie wskutek światła księżyca.

Zbliżyli się wreszcie do kamieniołomu. Jeśli mówił prawdę Janek — a był on przecież wiarygodniejszym świadkiem niż cygan — miał tam leżeć Sianowski bez przytomności, a gdzieś w pobliże miał uciec nieznany włóczęga.

Kiedy weszli do parowu, księżyc wzniósł się wysoko i całą dolinę zalewał swem bladem światłem. Szczawiński, idąc, potykał się ustawicznie. Czoło zrosił mu zimny pot, a ręce i nogi drżały, jak w febrze. Nie bardzo chciał wchodzić do tej ustroni, w środku której tliło jeszcze ognisko. Ale nie było już nad niem trójnogu i garnka, o którym opowiadał Janek, ani też koło ognia nie leżało żadne ciało. Wąwóz był pusty i panowała w nim martwa cisza.

„To jest dziwne — szepnął dziedzic. — Przecież Janek mówił, że ojciec był ciężkoranny, nie mógł więc sam odejść". Obrócił się szybko do cygana i rzekł groźnie: „Jestem przekonany, że wy o tem wiecie więcej, niż chcecie nam powiedzieć".

Cygan jednak zdawał się nic nie słyszeć i patrzył oniemiały na ziemię. Staszek wyjął z kieszeni elektryczną latarkę i oświetlił teren wokół dogasającego ogniska.

Nagle zawołał: „Patrz, ojcze! Tutaj na tej kupie gałęzi leżał gajowy. Jeszcze to znać. Spojrzyj teraz na to miejsce, które oświecam. Widzisz mocno wytłoczony odcisk nóg. Jestto więc ślad albo ciężkiego człowieka, albo kogoś, kto niósł jakiś ciężar".

„Sądzisz więc, że ktoś Sianowskiego stąd wyniósł. W takim razie nie zaszedł z nim daleko".

Ojciec i syn pochylili się i poczęli gorliwie badać ślady. Zajęci pracą, zapomnieli zupełnie o Szczawińskim. Cygan natychmiast to wykorzystał: cichutko oddalił się od nich, a wreszcie biegiem począł uciekać i wkrótce znikł w lesie.

Wtem z drugiego końca wąwozu doszedł ich jakiś głos. Ktoś stamtąd zbliżał się do nich. Janek w tę stronę skierował światło latarki.

W jej blasku ukazał się wysoki, piękny młodzieniec, o opalonej na bronz twarzy, bystrych, modrych oczach, z bogatą rudą czupryną.

„Hej! — zawołał. — Kto jesteście? Ja się nazywam Jacek Jemioła. Widzę, że jesteście harcerzem. Mogę też powiedzieć, że nim jestem. Człowiek, którego szukacie, jest niebezpiecznie zraniony. Najlepiej, przekonajcie się o tem sami!"

Dziedzic i jego syn na chwilę oniemieli ze zdziwienia. Nieznany młodzieniec bez dalszych słów, nie czekając na odpowiedź, obrócił się i odszedł w głąb kamieniołomu. Obu Grzegorzewskim nie pozostawało do zrobienia nic innego, jak iść za nim.

(C. d. n.)

Naczelny Skaut Świata Gen. Robert Baden Powell

odznaczony orderem Polonia Restituta.

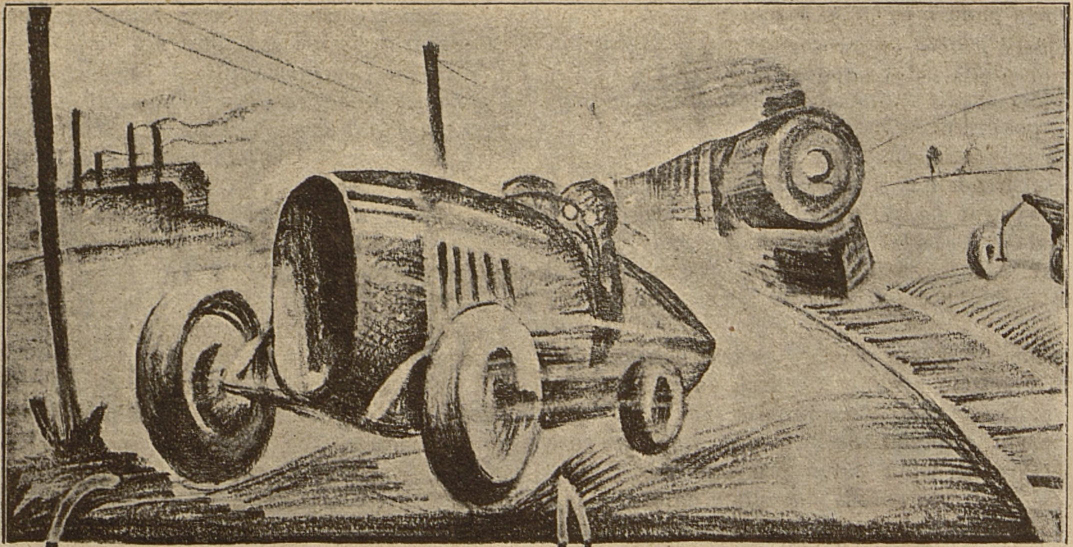
Poseł polski w Londynie, Skirmunt, udekorował na wielkim bankiecie twórcę skautingu, gen. B. Powella orderem Polonia Restituta z gwiazdą. Równocześnie przedstawiciel Związku Harcerstwa Polskiego wręczył Generałowi piękną kasetę zakopiańską z życzeniami polskich harcerzy.

W ostatnim czasie wysunięto generała B. Powella jako kandydata do nagrody pokojowej Nobla w uznaniu zasług na polu zbliżenia wzajemnego narodów.

Jubileusz lotnictwa.

W dniu 17 grudnia 1928 minie 25 lat od chwili pierwszego udanego wzniesienia się w powietrze w samolocie silnikowym. Postawiony wówczas przez braci Wright pierwszy rekord powietrzny wynosił 260 metrów, przeleconych w ciągu 59 sekund. Biorąc pod uwagę ostatnie wspaniałe rekordy, dokonane przez lotników tej miary co Lindbergh, Byrd, czy polski lotnik Orliński, to naprawdę musimy podziwiać, jak olbrzymich postępów w tej dziedzinie dokonał genjusz ludzki w ciągu niespełna ćwierć wieku.

Dla uczczenia tego jubileuszu postanowił prezydent Stanów Zjednoczonych Coolidge urządzić w Waszyngtonie międzynarodowy Kongres lotnictwa, połączony z wystawą lotniczą.



SZALONY POŚCIG

Opowieść T. C. Bridgesa — przerobiła Zofja Bastgenówna.

(Ciąg dalszy.)

Władek pozostał sam niezbyt chętnie, gdyż wolałby był pojechać z wujem na tych kilka dni. Ciągłe burze i deszcz ulewny nie nastrajały go wesoło. Postanowił jednak wykorzystać czas niepogody, by zabrać się do książek, w dni słoneczne nietykanych.

Wieczorem przyszedł doń Dobosz. Władek lubiał go, choć dziwiło go z początku, że na samo wspomnienie dawnego dyrektora dreszcz wstrząsał dzielnym pozatem człowiekiem. Gdy jednak ten opowiedział mu szereg wypadków, wykazujących przebiegłe okrucieństwo Weissa, Władek burząc się wewnętrznie na każdą przemoc, zrozumiał głęboko zakorzenioną obawę górników, trwożnie przekonanych o rychłym powrocie tyrana.

— Ależ słuchajcie Piotrze — mówił Władek — Rada zarządzająca usunęła go już, więc jakże może wrócić? Zresztą wujek łatwo się z nim rozprawi.

Piotr Dobosz pokiwał przecząco głową:

— Panicz go nie zna! On się wtedy zjawi, jak się go najmniej będziemy spodziewali — zapewniał. Niechno pan dyrektor tylko patrzy, żeby on tak kiedyś w nocy domów nam nad głową nie spalił!

Władka znudziły już i śmieszyły te ciągłe przewidywania.

— Przecież wyjechał do Poznania — mówił niecierpliwie — napewno nie wróci. A zresztą niech spróbuje!... Damy sobie z nim radę!

— Rety, jakby on wrócił, nikt mu nie da rady — zawołał z przerażeniem Piotr, patrząc z podziwem na zuchowatą minę i roziskrzone oczy chłopca. On ma z sobą bandę zbójów — a tu szpiegi jego się kręcą. I całkiem do Poznania nie wyjechał — jest tu gdzieś niedaleko jego kryjówka. Czeka tylko chwili sposobnej, żeby dokuczyć!

— Skądże wiecie Piotrze, że się tu gdzieś kryje — ciekawie spytał Władek.

— A przecież ten głupi Malik, jak odchodził, to się odgrażał. I wykrzykiwał, że pan dyrektor — niby ten dawny — wróci, no, a wtedy gorzko będą żałowali ci, co mu nie są wierni. Wszyscy słyszeli.

Władek śmiał się z tych pogróżek, a zresztą po burzy nastąpił piękny, upalny dzień, więc nie usiedziałby w domu. Zapomniał o wszystkiem innem, przejęty myślą o większej wycieczce, na którą miał ruszyć popołudniu z bratem jednego z inżynierów, Zbyszkiem Boreckim.

Właśnie pakował porządnie swoje rzeczy do plecaka, kiedy ktoś na dole drzwi z trzaskiem otworzył, zamknął i ciężkiemi butami zaczął dudnić po schodach. Władek przerwał robotę nadsłuchując — a w tej chwili w gwałtownie otwartych drzwiach stanął Dobosz zmieniony do niepoznania. Włosy rozwichrzone, twarz rozogniona, wykrzywiona strachem i długim pędem wskazywały na niezwykłe podniecenie i ważność sprawy, z którą przybył.

— Co się stało — krzyknął Władek.

— Paniczu, panie Władku — wyjąkał Piotr — Weiss! Weiss!

— Co tam znowu z Weissem? Mówcież rozsądnie Piotrze.

— Weiss przyjeżdża tu... Jest już w drodze — przerywanym głosem wykrztusił Dobosz. — Wie, że pana dyrektora niema. Coś dziwnego się gotuje na kopalni. Ludzie przerwali robotę i szeptem się zmawiają. Mówią że o pierwszej musi być strajk, bo jak nie, to Weiss zagroził, że kopalnię w powietrze wysadzi! A on dotrzyma słowa. Jeden pan inżynier z nim trzyma, a drugi, młodszy, od niedawna tu jest — stracił głowę — nie wie co robić.

Władek szybko się zastanowił. Wkońcu powiedział stanowczym głosem:

— Trzeba bronić kopalni i niedopuścić do strajku. Zaraz idę do kopalni. Dobrze, żeście mnie ostrzegli.

— Na miłość Boską, to się na nic nie zda! Cóż tam jeden człowiek zrobi. I w najporządniejszych dech zamarł i kopalni bronić nie będą, bo znają Weissa i boją się go jak djabła. Niedarmo te szpiegi Weissa się tu kręciły i jednych podmawiali i pieniądze wtykali, a innym pięścią grozili.

Młoda, ale rezolutna twarz Władka pokryła się ciemnym rumieńcem gniewu.

— Nie możemy dopuścić do strajku, a tem mniej do nieszczęścia! Musi się znaleźć jakiś sposób na tego łajdaka, rozumiecie?

— Jest tylko jedna rada — szybko pochwycił Piotr. Trzeba popędzić na policję, ale prędko... Panicz ma tę „Błyskawicę“. Niech nam przyślą oddział, to uratujemy kopalnię.

— Zatelefonuję! — zawołał Władek.

— Myśmy już próbowali, ale nikt nie odpowiada. Pewnie druty przerwane.

— Przerwane? — powtórzył wolno Władek. — Do głównej komendy jest dobrych 10 klm Czy zdążę? — zajechać i sprowadzić ich na czas?

— Niema innego ratunku, paniczu Jedźmy, jedźmy — bo będzie zapóźno.

Rzeczywiście nie było chwili do stracenia. W okamgnieniu wyprowadził Władek „Błyskawicę“ z garażu. Zajechał przed dom, skąd wybiegł Dobosz, niosąc mu czapkę, a w drugiej ręce trzymając filiżankę kawy.

— Niechno panicz się napije — rzekł. Rzeczywiście Władek był bez śniadania Bez protestu wychylił duszkiem podaną mu kawę. Trzeba mu było wszystkich sił i całej przytomności umysłu, żeby spełnić swe zadanie.

— Ja jadę z paniczem! — zawołał Dobosz.

— Dobrze, siadajcie prędko. Ryzyko jest wielkie. Wezmę największą szybkość. Wszystko mi jedno. Musimy być na czas!

— A jak trzaśnie guma, to przecież się na coś przydam! — zawołał Piotr, wskakując.

W dwie minuty potem pędzili obydwaj w „Błyskawicy“ przez teren kopalni, która wyglądała jak wymarła. Serce ścisnęło się Władkowi na myśl o tem, co się tu dziać może za kilka godzin. Weiss miał ogromną przewagę i mógł wyrządzić olbrzymie szkody, doprowadzony do ostateczności. Za wszelką cenę należało ratować kopalnię i wujka.

ROZDZIAŁ III.

„Szalony pościg“.

„Błyskawica“ — spisywała się doskonale. W rękach Władka była jakby żywem stworzeniem, które dobywało ostatka sił, by pochłonąć rozciągającą się przed niem przestrzeń. Już zaraz z początku dała susa naprzód, jakby czuła, że nadszedł czas najwyższej próby. Droga prowadząca do szosy była częściowo rozkopana dla naprawy i nie było mowy o puszczeniu się pędem. I tak samochód podskakiwał, jak szalony, na wybojach.

Żaden z jadących nie przerywał milczenia — wpatrzeni w bielejący szlak gościńca, po którym będą mogli popędzić jak strzała Kiedy dojechali do rozstajnych dróg u wylotu doliny i mieli skręcić w lewo przez wzniesienie ku szosie, Dobosz ciągle wstecz się rozglądający, krzyknął do ucha Władkowi:

— Jakieś auto za nami!

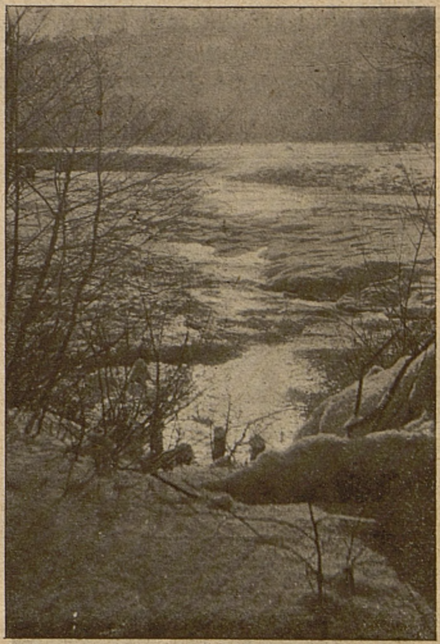
Nie odrywając rąk od kierownicy, Władek spojrzał za siebie. Rzeczywiście Dobosz miał słuszność. W tumanie kurzu, wzbijającym się za nimi, dojrzał olbrzymi kształt pędzącego samochodu, który widocznie dopieroco wyjechał z drogi na prawo. Wystarczyło raz spojrzeć. Twarz Władka zakrzepła w wyrazie nieugiętego postanowienia:

— To Weiss! — rzekł przez zaciśnięte zęby i zwiększył chyżość „Błyskawicy“. Dobosz był dziwnie spokojny. W oczach łagodnego zwykle górnika dojrzał Władek ze zdumieniem płomień nienawiści i zawziętości.

— On jedzie naprzód! — ponuro mruknął Piotr — reszta bandy będzie tu dopiero za kilka godzin.

— Dlaczego tak sądzicie? — zapytał Władek.

— Bo gdyby oni wszyscy już byli na miejscu, toby o nas nie dbał. Wiedziałby przecież, że swoje zrobi i zniknie, zanim wrócimy. A jeśli nas ściga, to dlatego, by nie dopuścić do zawiadomienia policji. Musiał się wszystkiego domyślić, widząc panicza auto w takim pędzie.



Fot. Snebur.

Morze śniegu.

— Tak, to prawda! — przyznał Władek. To znaczy, że chce nas zatrzymać i ubezwładnić, aż wykona swój szatański zamiar. A jeżeli go prześcigniemy — to sprawa wygrana.

Nie oglądając się już, puścił Władek „Błyskawicę“ jeszcze szybciej. Mały samochód podskakiwał na nierównościach gruntu, czasem przez sekundę wszystkie cztery koła znajdowały się nad ziemią — resory trzeszczały. Biały pas szosy zbliżał się Dobrze obserwował prześladowców.

— Dalej, dalej — wołał podniecony. — Oddaliliśmy się od nich Zdawało się, że zapomniał o swej obawie przed Weissem. Władek siłą woli utrzymywał spokój i zimną krew, wiedząc, że wszystko zależy teraz od „Błyskawicy“, że nie wolno mu popełnić ani jednej omyłki.

— Dopędza nas! — krzyknął nagle Dobosz — to ten jego przeklęty, długi wóz — ogromne opony — dają mu przewagę nad nami. Ale jak już będziemy na dobrej drodze za torem kolejowym, to nic nam nie zrobi.

— Czy jedzie kto z nim? — spytał Władek.

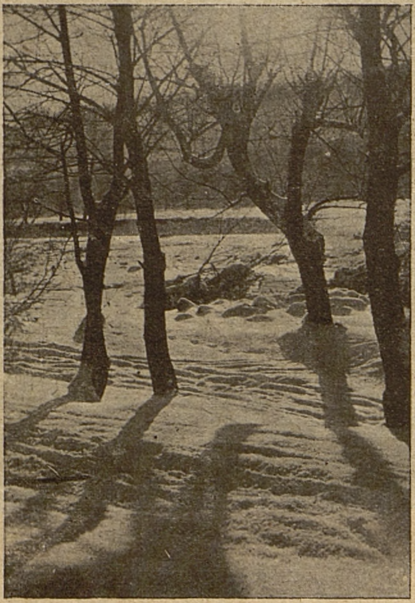
— Tak! — jest z nim trzech najgorszych drabów. A wszyscy uzbrojeni. Widzę rewolwery.

— Mniejsza z tem. Nie może przecież trafić w takim pędzie.

— Ale próbuje! — zawołał Dobosz. I w tej chwili ponad ogłuszającym hałasem motoru usłyszeli obaj świst kuli, która przeleciała im nad głowami. „Błyskawica“ posuwała się wprost w podskokach naprzód — gdy druga kula, lepiej wymierzona, trzasnęła w metalową pokrywę wozu iześliznęła się po niej.

— Żebyśmy tylko przejechali przez wzgórze i wyjechali z zakrętu, to ich przegonimy. Prędzej, prędzej! — ciągle wołał górnik. Jeszcze dwie kule świsnęły im koło uszu, nie robiąc im nic złego. W chwilę potem byli na szczycie wzgórza, a potem jakby przeskoczyli wyniosłość i z zawrotną szybkością spuścili się ze wzgórza, u stóp którego już był tor kolejowy. Brali właśnie trudny zakręt — więc Władek zwolnił ostrożnie biegu — ale zakręt uniemożliwił też Weissowi dostrzeżenie ich i strzały.

W ciszy pędzili naprzód, słysząc tylko monotonny turkot swego motoru i przygłuszony łoskot ścigającego ich auta. Czasem Władek cierpł, czując podskoki „Błyskawicy“ i w duszy modląc się, by teraz ich nie zawiodła.



Fot. Snebur.

Pod słońce.

— Niechby trzasła opona — a będą w ręku czterech zdeterminowanych łotrów i co gorsza, kopalnia będzie zgubiona. Władek podwoił uwagę i zręczność i to jedynie chroniło ich i wóz w tak szalonym pędzie.

— Czy nas dopędza? — rzucił pytanie, czekając zaprzeczenia.

— Nie widzę go teraz — odpowiedział Piotr — ale zdaje mi się, że ciągle jest w takiej samej odległości, jeżeli nie bliżej.

Władek zacisnął zęby. Spodziewał się, że zjazdem ze wzgórza wyprzedził znacznie przeciwnika. Albo Weiss lepiej prowadził auto niż sądził, albo też zawdzięczał to sile swego ogromnego wozu, zyskując przewagę nad małem i lekkiem autem na kiepskiej drodze.

Nagle daleki gwizd przerwał ciszę południa.

— Ekspress berliński! — wykrzyknął Dobosz.

Wyjechawszy z zakrętów — widzieli wszystko jak na dłoni: Szyny toru kolejowego lśniły w słońcu, wijąc się w kierunku granicy. Pociągu widać jeszcze nie było, ale słychać było zbliżające się dudnienie i przeciągły gwizd. Cała uwaga Władka skierowana była na szosę migającą z poza toru. Na równym gościńcu wyprzedzi wroga. O pociągu zapomniał zupełnie. Dobosz w gorączce pościgu wrzeszczał:

— Prędzej, prędzej! — jak nas tu chwyci przed zamkniętą rampą, to wszystko stracone. Dopędza nas!

— Ach!

Ostatni okrzyk wydarł się z piersi ich obu, bo nagle usłyszeli, jakby grzmot; pędzący ekspress ukazał się zdaleka. Władek jednem spojrzeniem ocenił odległość od przejazdu ich auta i pociągu. Mieli jedną możliwość na sto, że przejadą przed pociągiem. Nie mogli wybierać, czując zbliżanie się prześladowców, wydających okrzyki triumfu w przekonaniu, że zatrzymają chłopców, odciętych od gościńca.

Chłopak jakby oszalał. Wiedział jedno tylko — że przejechać musi. Kłęby dymu przesłaniały pędzący ku nim pociąg. Maszynista nie spostrzegł wyjeżdżających nagle z zakrętu aut.

Władek wstrzymał oddech — serce przestało mu bić... Pociąg nie zwalniał biegu. Czy przejadą? Nie miał czasu myśleć o innej możliwości.

Poczuł wstrząs — auto podskoczyło na szynach... W następnej sekundzie ogłuszył ich łoskot olbrzyma stalowego, piętrzącego się nad nimi i masa potworna z szalonym gwizdem runęła — i przeleciała — już za nimi!

Dziki okrzyk triumfu wydarł się z ust Władka:

— Przejechaliśmy! Na czas!

Poczuł nowy przypływ krwi w żyłach, zdawał się zbierać nowe siły do dalszego pędu, gdy Dobosz, z twarzą bladą jak płótno, z oczami obłąkanemi z przerażenia, wargami poruszającemi się bez dźwięku — drżącą ręką dał znak Władkowi, by stanął.

— Czyście zwarjowali? Teraz? — zakrzyknął Władek.

— Coś się stało — tam — wyjąkał górnik — pociąg staje.

„Błyskawica“ rozedrgana pędem, wstrzymana ręką Władka, stanęła. Władek teraz dopiero obejrzał się za siebie. Rzeczywiście. Pociąg stał. Maszynista, palacz, konduktor zeskoczyli i coś wykrzykiwali, machając rękami. Chłopcy wysiedli i chwiejnym krokiem przeszli przed pociągiem na drugą stronę toru.

Na drodze leżało przewrócone i płonące, wspaniałe auto Weissa. Dwóch z jadących znalazło śmierć pod niem, dwóch innych strasznie zniekształconych ranami, leżało na drodze obok.

Władek spojrzał na Dobosza rozszerzonemi od grozy oczyma.

— Za gwałtownie wstrzymali auto przed ekspressem, szepnął — i.. przewrócili.

Przerwał. Rozpacz i gniew opuściły go. Powaga tak strasznej śmierci przejęła ich obu do głębi.

— Skończone! — rzekł Władek. — Ze śmiercią Weissa nikt nie tknie kopalni!

— Uratowana! — z zapałem zawołał górnik.



Chodź ze mną na wieś.

Przychodzę po ciebie, jak obiecałem.

Choć słońce przyświeca i niebo czyste, bez chmurki — jednak mróz jest mocny i szczypie w uszy. Ale chyba nie trafiłem na piecucha, więc ubierz się ciepło i chodź!

Znowu biało wszędzie, jak przed świętami. Chociaż było kilka dni ciepłych, ale zima wróciła na nowo i mocno trzyma.

Pójdziemy dziś odrazu **do wsi** i zobaczymy, co się tam dzieje. Wstąpimy najpierw zajrzeć do tego gospodarstwa, tam na początku wsi. Znam gospodarza, więc nam pozwoli obejrzeć podwórze. Właśnie wraca saniami do domu.

Już z daleka możesz zauważyć, że to **gospodarstwo** staranne. Widać dom mieszkalny porządny, dachówką pokryty, podwórze czyste, równe, stodoła obszerna i budynki inwentarskie w porządku. A tam za stodołą widać kilka długich **kopców.** To wskazówka, że gospodarz dobrze ziemię uprawia, kiedy tyle **okopowych** jeszcze ma w kopcach, bo ostatni rok dla ziemniaków i buraków nie bardzo był sprzyjający.

Koło domu **sad.** Drzewa posadzone dość rzadko, by się wzajemnie nie cieniowały i korzeniami nie odbierały sobie nawzajem pokarmów. Patrz, część ich już oskrobana, widać gospodarz pamięta zawczasu o oczyszczeniu drzew. W tamtej części sadu czyszczenie jeszcze nie skończone i gałęzie zbędne jeszcze nie obcięte. Łatwo dojrzysz tam „wilki" t. zn. proste, długie gałązki. Pewnie wkrótce je gospodarz utnie, by nie zagęszczały koron i nie odbierały światła owocującym gałęziom.

Ale wejdźmy **na podwórze,** gospodarz tam już wjechał. Właśnie wyprzęga konie, bo dochodzi południe.

„Szczęść Boże — gospodarzu! Chcielibyśmy obejrzeć wasze podwórze".

Gospodarz się śmieje. Kiedy pozwala, to wejdźmy **do stajni.** Konie już się dorwały do siana i chrupią zadowolone. Gospodarz je jeszcze napoi, a potem da im obrok południowy.

Chodź **do obory,** bo widzę, że tam już gospodyni się krząta. Patrz, jak **krowy** utrzymane starannie. Czyste i gładkie, a wymiona aż wydęte od mleka. W oborze widno i czysto. Gosposia właśnie wymyła ciepłą wodą wymiona i wytarła je, a teraz bierze się do dojenia. Mleko leje się strumieniem, aż piana się robi w skopcu. Przyjemnie patrzeć na takie dojenie. Zaczekajmy tu chwilę — ile też będzie mleka?... Już widać kończy się dój, bo mleko strzyka coraz cieńszą strugą. Ale też skopiec prawie pełny.

Słyszysz, jak się **świnie** drą? Pytasz się dlaczego? Chodź! zaraz się przekonasz. Zanim gospodyni resztę krów wydoi, to my zajrzymy do chlewa. Tu córka gospodarzy przyszła świnie nakarmić, a im apetyt dopisuje, więc się drą, jakby je kto ze skóry łupił, tak im pilno do żarcia. O! tamta aż przedniemi nogami na brzeg klatki się wspięła. Ładne są, okrągłe i czyste. A w tej klatce, widzisz, maciora z prosiętami. Różowe, okrąglutkie — jak im wesoło, patrz, jak się biją i gryzą. Ale już wszystkie dostały jeść i cisza się zrobiła, tylko mlaskanie słychać. Aż im się uszy trzęsą, tak wsuwają. Tu już koniec roboty. Dziewczyna wychodzi, ale jeszcze coś niesie w garnku. Chodźmy z nią...

Oo! jak się do niej **kury** zlatują. Przecież im się też należy obiad. Widocznie zawsze odpowiednio są karmione, bo oto widzisz dziewczyna weszła do kurnika i teraz wraca z pełną garścią jaj. A napewne rano kury już część jaj zniosły i te są już zabrane, a do wieczora jeszcze kilka zniosą. Widać gospodyni staranna, bo o tej porze jeszcze mało gdzie się kury niosą.

Wróćmy teraz do obory. Gospodyni już skończyła dój. Mleko czysto przecedzone stoi tu na boku. Bańka prawie pełna. Teraz oboje z gospodarzem rozdają paszę. Każda krowa dostała po trochę otrąb z makuchem. Gospodarz odmierzył każdej sprawiedliwie. Im więcej która mleka daje, tem więcej dostaje tego przysmaku. Już krowy kończą lizanie. Prędko to idzie— już szorstkiemi językami szorują po dnie żłobu. Teraz każda dostanie po koszyku buraków pastewnych. Chrupią już w zębach, a takie pyszne, że aż krowie ślina cieknie. Tu leży już przygotowana wiązka siana. Gospodarz rozda je za chwilę, jak buraki zjedzą. Ale chodźmy już, bo gospodyni poszła do domu i pewnie wnet obiad będzie, więc nie przeszkadzajmy.

„Dowidzenia — gospodarzu! Dziękujemy".

Mówisz, że tu praca wre. Tak — i to praca umiejętna. O tam widzisz, jeszcze coś ciekawego. Stodoła otwarta i chłopak plecie maty ze słomy do inspektów. Widać i o warzywach na tem gospodarstwie pamiętają. Rzeczywiście



Fot. Snebur.

Smętek zimy.

tuż za stajnią widać przygotowane **skrzynie inspektowe.** Wkrótce więc gospodarz zabierze się do założenia inspektów i do zasiania rozsady na wczesne warzywa.

Chodźmy stąd wreszcie, bo już gospodyni swoich na obiad woła.

Pójdziemy teraz przez wieś. Pokażę ci jeszcze inne gospodarstwo. Ale tam już nie będziemy wchodzić, tylko z daleka się przyjrzyjmy. O — widzisz ten domek mały, ciemny, słomą pokryty, zielony od mchu? Spójrz — i tu przy domu jest sad, ale mały, gęsty, zarośnięty. Niewielki pewnie z niego pożytek. Zajrzyj na podwórze. Chłopak jakiś ślizga się pośrodku, to gnojówka tak zamarzła. A tamta mała szopka, gdzie drzwi kołkiem podparte, to chlew. Tam dalej obórka. Ściany jej się chylą, okna niema. Drzwi są właśnie otwarte, więc widać suchy, oblepiony gnojem zad krowy. Właśnie gospodyni wychodzi ze stodoły (tam też dach dziurawy świeci) i niesie worek sieczki dla krowy. To cała jej żywność. I za tę dolę krowa jeszcze kapkę mleka daje. Trzeba podziwiać cierpliwość zwierzęcia.

No i cóż ty na to? Powiadasz smutno, bo bieda. Tak. Ale bieda jest skutkiem, a nie przyczyną. Gospodarz ten ma ziemi tyle bezmała, co i tamten i jest nie gorsza. Przyczyną jego biedy jest przedewszystkiem nieumiejętność, ale to nie tylko jego wina. Tu wina leży głównie w tem, że ci, którzy panowali przez cały wiek na polskiej ziemi, nie dbali o nią i jej mieszkańców. Teraz już praca nad oświatą wre. U tamtego gospodarza widziałeś już jej skutki i ten się w końcu ruszy i przekona do postępu, inaczej zginie.

A tam dalej we wsi ten budynek, to też dowód naszych dążeń do postępu i dobrobytu. Widzisz tam napis: „Spółdzielnia mleczarska"? Widać wieś się budzi do życia społecznego i tem sobie toruje drogę do dobrobytu.

Na podwórzu mleczarni widać wozy z lodem. To lód wożą do lodowni na lato. Teraz dobra pora, bo lód gruby.

Patrz tu na drodze kilka **wron.** Poważnie wyglądają w swym stroju popielatym z czarnym. Zima przygnała je do wsi. A tam na tem podwórzu **sroka.** Jaka elegancka w czarno-białej sukience. Kot ma na nią wielką ochotę, ale ona sobie z niego wyraźnie kpi. Stój i uważaj! O... kot skrada się coraz bliżej... bliżej... chyc! Ale — figę! Chciałbyś kocie łapkami w powietrzu złapać? Sroczka ledwie od ziemi się oderwała, ale choć kotku podskakujesz, to i tak z tego nic, bo oto już znów siedzi na ziemi zaledwie o krok dalej. Daremne, kocie, twoje złudzenie.

Chodźmy dalej. Słyszysz, co za koncert w tych krzakach przy kościele? Jak na wiosnę. To **wróble** takie rade z pogody, sejmikują i ćwierkają, jakby im zima nic nie szkodziła. Aż czarno w krzakach taka gromada.

Już przeszliśmy wieś. W polu wiatr trochę dmie od wschodu. Pewnie będzie jeszcze jakiś czas pogodnie i mroźno.

Tam w dali coś czerni się na śniegu. To duża kupa **nawozu.** A tam widzisz? — od wsi suną sanie pełne obornika. To nasz znajomy gospodarz. Widać już mu się zebrało za dużo nawozu, więc korzysta z mrozu, kiedy mu łatwo wjechać na pole. Patrz już dojechał. Jeszcze dokłada do tej samej kupy. Aż para idzie, takie ciepłe. Ale spójrz tam w drugiej stronie też ktoś nawóz wywiózł, lecz ułożył na polu w małych kupkach. Odrazu poznać nieświadomego gospodarza. Tamtemu w wielkiej kupie obornik nic zmarznie, a te kupki małe nietylko zmarzną i przez to zginą w nawozie niezliczone rzesze bakteryj — te mikroskopijne pracowniczki, które mają pomagać człowiekowi w glebie, ale pozatem do wiosny śnieg i potem roztopy wypłuczą co najlepsze, wiatr i słońce wysuszy i niewiele wart będzie ten nawóz, gdy go gospodarz zechce rozrzucić i przyorać.

Zając nam drogę przeleciał i umyka. Nic dziwnego, że taki wystraszony. Przez pięć miesięcy uganiali się za nim myśliwi, a dopiero od kilku dni nastał czas ochrony.

Przyjrzyj się tu na miedzy jeszcze coś ciekawego. Jakiś dziwny ślad. Większy od mysiego. To sunęło jakieś zwierzątko o drobnych krokach i krzywych łapkach. Wyraźnie widać odcisk stosunkowo dużej łapki, a ślady są jakoś tak skośnie wyciśnięte. Idź za śladem, a poznasz do kogo należy... No i co? zginął ci przy tej kępce trawy? Ale tam pod tą kępką suchej trawy ziemia nie zmarzła i dziura w ziemi wyraźna. To **kret** był — rzeczywiście. Wróć śladem w drugą stronę, a znajdziesz takąsamą dziurę. Trochę nawozu tu leży i pod nim ziemia też nie zmarznięta. Czemu kret nie siedzi w głębi ziemi, gdzie mu ciepło i może spokojnie spać? Poco wylazi? — tego nie rozumiem.

Ale mrok zapada. Pewnie wiatr cię przewiał i zmarzłeś, więc wracajmy. Pójdziemy tą samą drogą.

Przed nami idzie dwoje dziewcząt. A tam z chałupy jakiś chłopak wychodzi. Idą razem, śmieją się, gdzieś im się śpieszy. Aha! — słyszysz? to **muzyka** rzempoli w tym domku koło mleczarni. Przecież i na wsi jest karnawał. Dzieciaków do środka nie wpuścili, więc stoją przed domem i rozgniatają nosy o szyby. Światło już zapalono i słychać, że tany się zaczęły. A oto i córka naszego gospodarza też leci na muzykę. Zgrabna dziewczyna. Poznała nas i śmieje się, ale nos w chustkę chowa. Niech korzysta póki czas. Ja sam miałbym ochotę pohulać.

Ale trzeba już wracać do domu, więc chodźmy.

A za miesiąc znowu cię gdzieś zaprowadzę. Dowidzenia! *Kozioł Wódz.*

W początku lutego.

Ćwiczenia zmysłów.



Pamiętajcie na każdej zbiórce zastępu poświęcić 5 do 10 minut ćwiczeniom zmysłów!

W pierwszym numerze »Na Tropie« podałem parę wstępnych uwag i przykładów. Dziś podaję dalsze ćwiczenia. Przeprowadźcie je, zanim wyjdzie następny numer.

Ćwiczenia spostrzegawczości: Szukanie naparstka. Na widocznem miejscu kładziemy drobny przedmiot, jak naparstek, ołówek, kredę itp. i każemy zastępowi szukać. Kto pierwszy dostrzeże, siada na boku i nie zdradza kryjówki, aż wszyscy znajdą.

Ćwiczenie w ocenianiu wielkości. Przygotujemy pewną ilość przedmiotów, których wymiary są nam znane. Pytamy potem zastęp, ile razy linijka pomieści się w krawędzi stołu, ilokrotnie wyższy jest piec od krzesła i t. d. Chodzi o ocenę zapomocą porównań.

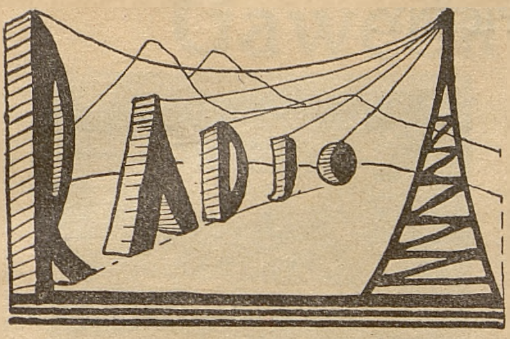
Kim jest zbyt znanem ćwiczeniem, by je opisywać. Można to ćwiczenie utrudniać i urozmaicać, skracając czas obserwacji, zwiększając liczbę przedmiotów, lub wprowadzając pewne odmiany: **Kim porządkowy.** Przedmioty przeznaczone do obserwacji układamy w jednym szeregu lub grupami na stole. Wyliczając przedmioty z pamięci, trzeba zachować ten układ, w jakim leżą na stole.

Kim jakościowy: Używamy przedmiotów jednego rodzaju n. p. guzików, marek pocztowych, różnorodnych ołówków, pudełek i t. p. i po upływie czasu dozwolonego na obserwację musi zastęp podać szczegółowy opis oglądanych przedmiotów, a więc n. p. przy markach pocztowych: kolor, kształt, treść marki (rysunek, napisy), wartość i t. p.

Ćwiczenie słuchu: „Za gwizdkiem". Wyprowadzamy zastęp na boisko, każemy wszystkim zawiązać oczy, poczem zastępowy gwiżdże, chodząc po boisku w różnych kierunkach, a zastęp stara się podążyć za nim, kierując się słuchem.

Szukanie zegarka. Umieszczamy zegarek w pokoju tak, żeby go nie było widać, ale żeby za przyłożeniem ucha, słychać było jego chód. Zastęp szuka, kierując się słuchem. Kto znajdzie siada na znak, że znalazł. Ćwiczenie to będzie o wiele trudniejsze, gdy weźmiemy kilka zegarków o różnym chodzie. Oczywiście najpierw musimy dać zastępowi posłuchać chodu wszystkich zegarków, a później dopiero zegarki schować i żądać nie tylko odnalezienia zegarków, ale też rozpoznania ich po chodzie.

J. G.



Podstawy radjotechniki dla początkujących.

Modele stacyj nadawczych i odbiorczych.

Komunikacja radjowa polega na wysyłaniu i odbieraniu pewnych znaków, lub dźwięków przy pomocy fal elektromagnetycznych.

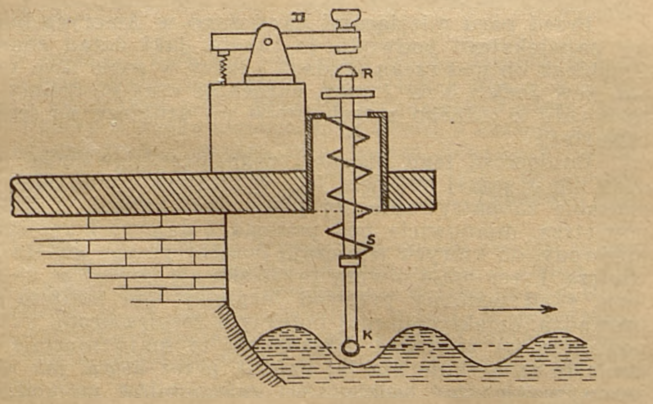
Pewne umówione znaki lub dźwięki zamieniamy na stacji nadawczej przy pomocy prądów elektrycznych szybkozmiennych na fale elektromagnetyczne, promieniujące ze stacji nadawczej w przestrzeń. Od owego promieniowania czyli radjacji pochodzi nazwa radja. Fale te, rozchodzą się w przestrzeni z bardzo wielką szybkością, dochodzą do stacji odbiorczej, gdzie wywołują w antenie odbiorczej prądy szybkozmienne, o takiej samej częstości zmian jak na stacji nadawczej, tylko o znacznie mniejszem natężeniu. Przy pomocy prostych urządzeń, można prądy te zamienić na znaki lub dźwięki dostępne naszym zmysłom.

Jak z tego szkicu widać przy komunikacji radjowej mamy 3 zasadnicze czynności:

1) Wytwarzanie fal elektromagnatycznych przy pomocy prądów elektrycznych szybkozmiennych na stacji nadawczej.
2) Przesyłanie znaków lub dźwięków przy pomocy tych fal w przestrzeń.
3) Odbieranie fal elektromagnetycznych na stacji odbiorczej i przerobienie ich na znaki i dźwięki dostępne naszym zmysłom.

Aby lepiej zrozumieć przebieg tych zjawisk elektr., posłużymy się modelami stacji nadawczej i odbiorczej, zbudowanemi na zasadzie rozchodzenia się fal wodnych. Modele te będą mieć wierny obraz w zjawiskach elektrycznych, a tem samem ułatwią nam ich wytłumaczenie.

Wyobraźmy sobie idealnie gładką powierzchnię stawu lub dużego jeziora, pozostającą w spoczynku. Umieśćmy na jednym końcu rusztowanie nad powierzchnią wody i ustawmy przyrząd, składający się z pręta R zawieszo-

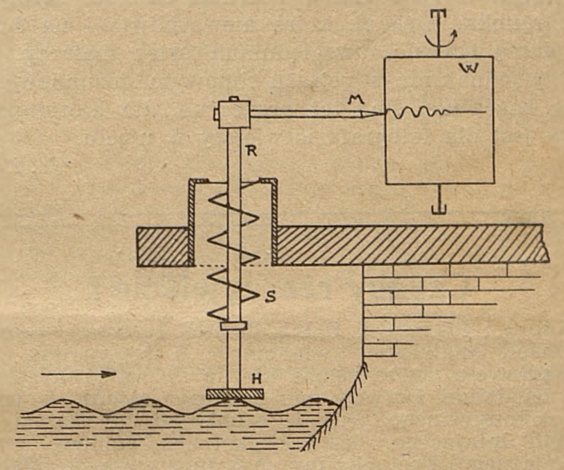


Model stacji nadawczej.

nego na sprężynce S. Pręt R posiada u dołu kulkę K, umieszczoną tuż nad powierzchnią wody. Jeśli dźwignią D uderzę w pręt R, wówczas wskutek zawieszenia sprężystego pręt będzie drgał do góry i w dół, uderzając kulką K o powierzchnię wody. Wynikiem tych okresowo powtarzających się uderzeń, będzie wywołanie szeregu fal na wodzie, które będą się rozchodzić na wszystkie strony do całej powierzchni stawu, jak to wyobraża nam rysunek. Fale te mają określoną długość oraz prędkość rozchodzenia się we wodzie. Ilość tych fal, wysłanych przy jednem naciśnięciu dźwigni D zależeć będzie od ilości uderzeń pręta z kulką K o wodę. Gdybyśmy używali do tego przyrządu różnych sprężynek lub różnych prętów, to ilości fal wysyłanych za jednem naciśnięciem dźwigni D byłyby niejednakowe. Przyrząd taki będzie służyć nam jako model stacji nadawczej. Jeśli na drugim końcu stawu umieścimy podobny przyrząd, tylko zamiast kulki K damy na dole deszczułkę H, pływającą na wodzie, to wówczas będziemy mogli tym przyrządem wykrywać fale wodne. Gdy bowiem nadbiega fala wodna, wtedy deszczułka H będzie się znajdowała raz na „grzbiecie" raz na „dolinie" fali, zmuszając sprężynkę do wykonywania drgań, których częstość zależną będzie od ilości fal, nadbiegających ze stacji nadawczej.

Aby drgania te utrwalić, użyjemy przyrządu samozapisującego, składającego się z walca W z nawiniętą taśmą papieru, na którym rylec M, umocowany na drążku R, zapisuje drgania w postaci linji falowej, naśladującej dokładnie fale wodne. Cały ten przyrząd wyobrażać nam będzie model stacji odbiorczej.

Przy rozaptrywaniu przebiegu fal wodnych, pomijamy możliwości występowania jakichkolwiek zaburzeń i uważamy fale wodne za prawidłowy ruch falowy. W zjawisku tem zauważymy, że nie każda sprężynka S na sta-



Model stacji odbiorczej.

cji odbiorczej będzie jednakowo pobudzana do drgań, jedne będą silniej drgały, drugie słabiej, co pokaże nam wykres otrzymany na walcu W. Okazuje się, że wtedy otrzymamy najsilniejsze drgania na stacji odbiorczej, jeśli użyjemy sprężynki S o dokładnie tej samej sprężystości, jaką posiada sprężynka na stacji nadawczej, oraz pręta R o takim samym ciężarze jak na stacji nadawczej.

Wyrażamy się wówczas, że stacja odbiorcza jest dostrojona do stacji nadawczej. Dostrojenie to polega na zdolności do wykonywania tej samej ilości drgań w jednostce czasu.

Układ złożony ze sprężynki S oraz drążka R, nazwiemy mechanicznym obwodem drgającym. We fizyce zjawisko takie, gdzie dwa obwody drgające wykonują tę samą ilość drgań w jednostce czasu, nazywa się współbrzmieniem lub rezonancją. Znany jest przykład z akustyki, gdzie widełki stroikowe pobudzone do drgań wywołują fale głosowe, które pobudzają do drgań drugie widełki stroikowe, umieszczone w pewnej odległości, o ile te są dostrojone do tej samej częstości drgań.

Zjawisko to polega na tem, że drobne nawet impulsy działając zgodnie z drganiami własnemi widełek wzmacniają te drgania, dając w wyniku silne drgania. Gdyby widełki były dostrojone do innej częstości drgań, t. j. gdyby posiadały inne własne drgania, wówczas nie byłoby zjawiska rezonancji.

W naszym przykładzie obwód drgający na stacji odbiorczej musi być w rezonancji ze stacją nadawczą, t. j. musi posiadać częstość własnych drgań zgodną z częstością drgań udzielanych przez nadchodzące fale wodne.

Jak z dotychczasowych rozważań wynika, warunkiem rezonancji jest odpowiednio dobrana sprężynka S oraz pręt R na stacji odbiorczej.

Z. M.

(C. d. n.)

KĄCIK FOTOGRAFICZNY.

Jeżeli zieleń, zwłaszcza ciemna, jest bardzo niewdzięcznym tematem dla fotografji — to woda, niebo, łany zbóż dojrzałych, kwitnące sady, a przedewszystkiem śnieg są dla fotografa krajobrazu tematami, najbardziej ulubionymi. W zimie prawie każdy fragment pejzażu jest godny utrwalenia na kliszy. Są jednak dwa warunki: jak najwięcej śniegu i słońca. Śnieg bowiem bez słońca jest mdły i nieciekawy. Natomiast okiście na maleńkich smrekach, zwały nad brzegami rwącego potoku, białe pola w zestawieniu z ciemnemi chmurami nieba, oszroniałe gałązki drzew — wszystko to skąpane w złotych promieniach słońca, daje obrazki, jakby z bajki wyśnione.

Rodzi się wtedy jakaś cudowna plastyka, a subtelne cienie i półcienie drzew i jego konarów, kładące się na niepokalanej bieli śniegu, dają przepyszną harmonję plam, które nietylko dla oka, ale i utrwalone na kliszy będą interesujące. Mamy tu bowiem do czynienia z gamą plam nie tyle barwnych, ile plam o różnem natężeniu światła, co objektyw może oddać w wiernem odbiciu. Pomijamy pewne refleksy świateł, które niewątpliwie i na śniegu dają plamę barwną, uwzględnianą przez malarzy. Barwność ta jednak ma w pejzażu zimowym stosunkowo niewielkie znaczenie, stąd też przyczyna, dla której pejzaż zimowy jest dla fotografa łatwiejszy w ujęciu.

J... i.



Raba w okowach lodu. fot. Snebur.

Czyżby rzeczywiście?

Kapitan lotnictwa, Polak Wiktor Dyboski, zamieścił w pismach angielskich wiadomość o dokonanem przez siebie odkryciu, które będzie można nazwać rekordowem w tej dziedzinie. Dotyczy ono możności latania w powietrzu, dokonywanego jedynie osobistym wysiłkiem mięśniowym latającego, bez jakiejkolwiek pomocy motoru mechanicznego. Posłuchajmy co o tem pisze w **„Manchester Guardian“** sam wynalazca:

„Mój **ornitopterus** mający 3.66 m. długości, a 7.62 m. rozpięcia w skrzydłach oraz wagi 150 funtów (angielskich), pozwoli człowiekowi latać w przestworzu niezależnie od wszelkich czynników, które w obecnej awiacyjnej technice warunkują utrzymanie się w powietrzu, a więc także niezależnie od szybkości. Człowiek stanie się panem powietrza mogąc się wznosić tak długo, jak długo pozwoli na to jego fizyczna wytrzymałość“.

W budowie samego aparatu oparł się ów uczony na podstawach najprostszych, jakie odsłoniło mu badanie budowy ptaka albatrosa. Człowiek wznoszący się na aparacie kapitana Dyboskiego lata w pozycji poziomej jakby pływał, co wymaga najmniejszego zużycia sił. Wprowadzenie w ruch aparatu odbywa się zapomocą rąk, kierowanie lotem zapomocą nóg. Badanie lotu albatrosa przekonało wynalazcę, że możność przezwyciężenia silnych prądów powietrznych zawdzięcza ten ptak wytwarzaniu dokoła siebie t. zw. **„kręgu depresji“** i właśnie wytwarzanie kręgu stało się podstawą kontrukcji owego **„ornitopterusa“**.

Główny korpus aparatu zrobiony ma być z aluminjum, części dodatkowe ze stali. Dwa pedały wprawiać będą w ruch ruchome skrzydła. Wynalazca zapewnia, że aparat jego będzie mógł wznieść się w powietrze, przy wietrze 12—15 mil angielskich na godzinę, nawet na wysokość tysiąca mil angielskich i osiągnąć szybkość poziomą 25 do 40 kilometrów na godzinę. Kapitan Dyboski wyraża niezłomne przekonanie, że dzięki jego aparatowi, ludzie będą mogli wkrótce upodobnić się w zupełności do legendarnego skrzydlatego Ikara.

„Manchester Guardian“ podaje wiadomość tę zupełnie serjo, a o kapitanie Dyboskim pisze jako o jednym z najznakomitszych wynalazców w dziedzinie aeronautyki. On to otrzymał w swoim czasie nagrodę rządu angielskiego w poważnej kwocie 5.500 funtów szterlingów za wynalazek, polegający na równoczesności ognia kartaczowego po przez śrubę samolotu w ruchu. Zawód lotniczy uprawia Dyboski od r. 1908 i za lot z Sewastopola do Petersburga miał jako ówczesny oficer armji rosyjskiej otrzymać złoty medal od Rosyjskiego Towarzystwa aeronautycznego. W Anglji pracuje w specjalnej misji lotniczej od r. 1916, a przez pewien czas był w podobnej misji i w Stanach Zjednoczonych.

Jak z podanych szczegółów widać z zapowiedziami kapitana Dyboskiego liczyć się trzeba poważnie, mimo, iż nie zawierają one żadnych bliższych danych o samej konstrukcji. Dokonany przez kapitana Dyboskiego wynalazek depresji, umożliwiającej posuwanie się aparatu naprzód jest dotychczas nieznany w nauce i na tem właśnie polega jego wielkość i nieobliczalne skutki dla sprawy lotnictwa.

W.

Największy podwodny tunel.

Przed paru miesiącami ukończono w Ameryce budowę największego podwodnego tunelu, jaki dotąd znamy. Przebiega on pod rzeką Hudson i łączy w sobie dwa miasta New Jork i New Jersey, skracając czas potrzebny do przejazdu z jednego z tych miast do drugiego do jednej czwartej.

Doniosłość tego gigantycznego przedsięwzięcia leży atoli nie w samej budowie, lecz w niezwykle pomysłowym sposobie zaopatrywania tej podwodnej galerji w świeże powietrza. mianowicie pod podłogą 2 galeryj przebiegają przewody, do których wtłaczają potężne pompy świeże powietrze. Przez małe otwory przeciska się powietrze do galerji, skąd podobny przewód biegnący nad sufitem odprowadza, dzięki niemniej potężnym respiratorom, zużyte powietrze na zewnątrz. Urządzenia te mają niezmiernie doniosłe znaczenie dla tej galerji, przez którą, jak obliczono, przejeżdżać będzie 3.800 automobilów na godzinę, a 46 tysięcy na dobę. Można sobie wyobrazić, ile dymu i przykrych gazów nagromadziłoby się przy takim ruchu w tym zamkniętym przewodzie.

Tunel jest długi na 920 stóp, a w swej środkowej części dosięga głębokości 95 stóp pod poziom wody. Składa się on właściwie z dwu galeryj, każda po 20 stóp szerokości, biegnących obok siebie, dla ruchu w jedną i drugą stronę.

Genjusz ludzki dokonywa coraz to nowych cudów, przebija góry, opanowuje oceany i wiatry, aby przyspieszyć jeszcze więcej nerwowy rytm życia swych stolic.

Gawęda o książkach.

Nie tak to dawno minęły Święta Bożego Narodzenia i „gwiazdka". Pamiętam, że zawsze oczekiwałem jej z wielką niecierpliwością i zaciekawieniem. Co prawda, to nie przynosił mi „aniołek" jakichś nadzwyczajnych rzeczy — ale raz zdarzyło się, że przyniósł mi rzecz przepiękną, kochaną — powiem wam — wprost wspaniałą. Była nią książka Sienkiewicza p. t. **W pustyni i puszczy.** Ale, żeby zrozumieć moją radość i zadowolenie, trzeba wiedzieć, czem była książka i jest jeszcze do dzisiejszego dnia dla mnie.

Dużo o tem możnaby pisać, ale lepiej, gdy się niewiele mówi, więc postaram się też krótko wszystko ująć. Książka — to cały, wielki zamknięty, nieznany pełny niespodzianek i przygód — świat. To skarbiec legendarny, zaczarowany w długie równe kolumny czarnych liter na białem tle papieru. O czem to ona nam nie mówi? Raz snuje przed nami obrazy czarownych snów, legend lub baśni. O szklanej górze... pięknej królewnie... i ktoby tam wszystkie wyliczyć zdołał. A jeśli już chcecie znać je koniecznie — a przyznam się wam, że poznać je warto — to przeglądnijcie książkę K. Glińskiego p. t. **Bajarz Polski,** albo inną piękną książkę, którą niedawno z angielskiego przełożono, t. j. Caroll'a **Ala w krainie czarów.**

Prawda to, że wszyscy, mali i wielcy lubimy bajki i często z przyjemnością słuchamy choćby po raz setny już opowiadanych. Ale z niemniejszą przyjemnością czytamy opowiadania o dawnych dziejach, przygodach, dalekich podróżach i nieznanych krajach. Nie wszyscy jeszcze możemy latać samolotami nad całym światem, oglądać wszystkie narody i ziemie, ale możemy zato przeczytać książkę o tem co się to dzieje **Wśród dzieci i młodzieży różnych ludów.** (A. Lewicka.).

Zdaje się nam, że to my właśnie wsiadamy w Katowicach do samolotu i lecimy ponad całą kulą ziemską. Jedziemy daleko — hen za góry i lasy, aż do „państwa słońca", bo tak nazywają się Chiny. Niegdyś, tysiące lat temu odgrodziły się one od całego świata słynnym „murem chińskim", o którym na pewno dużoście już słyszeli. Na dobre im to nie wyszło, bo zamknięci nic z siebie nie dali obcym, a równocześnie nic sobie dobrego nie przyswoili, tak, że do dziś dnia zachowało się u nich wiele dawnych zwyczajów i obyczajów.

Ludzi tam bardzo dużo i z tego powodu dużo tam biedy. Całe przestrzenie to łany ryżu z lasy krzewów herbacianych, bo — jak wiecie — Chiny to ojczyzna ryżu, herbaty, jedwabiu i trzciny bambusowej. Krajowcy i ludzie inni. Dzieci nie mają rumianych twarzyczek, barwa ich skóry jest żółta, oczy osadzone skośnie, chłopcy i dziewczynki ubrane jednakowo w długie spodenki i niebieskie kaftany, bo kolor niebieski jest kolorem ludzi ubogich. Przy robocie nie widać chłopców, chłopcy już od piątego roku życia zaczynają się uczyć..."

A nauka u nich nie jest łatwą rzeczą. Pomyślcie tylko, że sam alfabet nie składa się — jak u nas — z dwudziestu kilku liter, ale z przeszło dwudziestu tysięcy znaków, z których każdy oznacza inne słowo, a czasem nawet całe zdanie. Dużoby można tam jeszcze ciekawych rzeczy zobaczyć, ale czas w drogę. Pamiętajmy tylko jeszcze to, że wychodzi tam jedyne pismo polskie p. t. **Tygodnik polski** (Charbin).

Lecimy do Japonji. Japończycy należą do tej samej rasy co i Chińczycy, przyjęli od nich religję i pismo, ale język ich jest odmienny i usposobienie daleko milsze. Dość powiedzieć, że są bardzo uprzejmi, weseli, że przyswoili sobie wszystkie wynalazki zachodu, a nawet młodzież swoją wysyłają często na naukę do Anglji, Francji, Ameryki.

Co tam najciekawsze — to ich domy mieszkalne. Niskie, łatwo przenośne, dające się przesuwać i rozbierać, tak, że z ulicy można widzieć wszystko, co się w domu dzieje. Sprzętów mało, tylko niskie stoliki i maty, pokoje ozdobione ślicznymi wazonami pełnymi kwiatów, parawanami haftowanymi lub malowanymi, mnóstwem wachlarzy, zastawione etażerkami. Wszystkie jednak domy są drewniane, bez podwalin i murów, bo wskutek częstych wybuchów wulkanów narażeni są na trzęsienia ziemi, które nie pozwalają na stawianie trwałych domów. Długo możnaby jeszcze oglądać cuda Japonji, ale jedno szczególnie zwraca uwagę t. j. wesołość i zadowolenie, tak, iż ma się wrażenie, że „życie upływa tu wszystkim jak w bajce".

A tajemnica tej ich wesołości leży w ich usposobieniu. Życie jest dla nich piękne, bo chcą, żeby takiem było, bo umieją tak na nie patrzeć. Świat się do nich uśmiecha, a oni do świata i dlatego wzajemnie się rozumią. Pamiętajcie o tem i podobnie jak Japończycy bądźcie radośni, bądźcie kowalami własnego szczęścia.

Z Japonji lecimy przez Australję, która robi wrażenie dzikiego pustkowia, gdyż Australczycy nie budują domów. „Są to plemiona koczownicze, które co dzień zmieniają miejsce pobytu. Nie uprawiają ziemi, nie hodują zwierząt, więc muszą ciągle przenosić się z miejsca na miejsce, by znaleźć pożywienie".

Dużo tam jest i kolonistów, t. j. obcych przybyszów, wśród których nie brak i Polaków. Jeden szczyt górski nazwano od imienia Kościuszki. Czas jednak lecieć dalej, bo warto być w kraju dziwów z czarów, jakim są Indje.

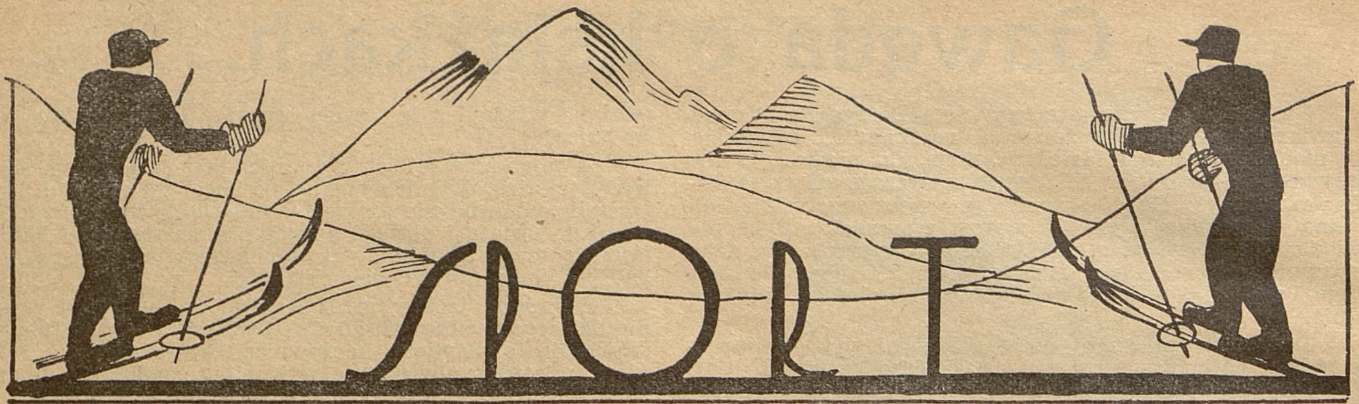
Pewnie już nieraz słyszeliście o czarownikach, którzy umieją zaklinać węże, o fakirach, co zakopani w ziemię umieją tak żyć miesiącami, o najwyższych w świecie górach, Himalajach itd., o czem cuda opowiada nasz sławny podróżnik **Ossendowski.** Stamtąd lecimy do Egiptu, oglądamy olbrzymie piramidy i grobowce królów, zwiedzamy kraj Stasia Tarkowskiego, znanego nam już z książki Sienkiewicza i wracamy do Polski pełni wrażeń i marzeń.

Może jeszcze urządzimy sobie kiedyś wyprawy w świat, a tymczasem słuchajmy bajek, czytajmy, czytajmy i jeszcze raz czytajmy, a o tem, jak czytać mamy, jeszcze pomówimy. Pamiętajcie tylko na razie, że najlepiej zacząć od poznania tej wspaniałej książki Sienkiewicza, od poznania przygód jej bohatera.

„Uparty Kozioł".



Ile radości sprawia ukazanie się drugiego numeru „Na Tropie"!



Sport polski w roku 1927.

Ubiegły rok był sezonem przygotowawczym do Igrzysk Olimpijskich, wszelkie poczynania sportowe były dokonywane pod hasłem Olimpjady. Jest to objaw bezwątpienia dodatni, gdyż gwarantuje nam lepsze wyniki od tych, jakie osiągnęliśmy w Paryżu w r. 1924. Sezon ten był także przełomowym, o ile chodzi o propagandę sportu. Szersze sfery społeczeństwa, a z niemi i Rząd zrozumiały, że sport jest przedewszystkiem przygotowaniem ustroju cielesnego do walki o byt. Zrozumiano, że społeczeństwo zdrowe fizycznie da potęgę państwu. Na tym gruncie wyrastają Wojewódzkie i Powiatowe Komitety Wychowania Fizycznego, organizuje się ośrodki W. F. przy dowództwach okręgów i dywizyj W. P., powstaje Państwowy Urząd W. F. i P. W.

Nie brakło jednak także i stron ujemnych. Oto były tarcia, które często doprowadzały do niepożądanych rozłamów, osłabiających siły organizacyjne sportu. Mamy na myśli zlikwidowany już rozłam w Polskim Związku Piłki nożnej.

Pocieszającym jest natomiast rozwój lekiej atletyki, która powoli zdobywa sobie obywatelstwo w Polsce i to obywatelstwo pierwszoplanowe. Zrozumiano, że lekka atletyka, to znakomite przygotowanie do każdego innego sportu, a więc piłkarstwa, wioślarstwa, narciarstwa, tenisu, pływania itd. W ten sposób rzesze lekkoatletów powiększyły się znacznie i każde zawody, nietylko już w stolicy, były rewelacją niejednokrotnie większą od niejednego renomowanego matchu piłki nożnej. Wprawdzie w stosunkach międzynarodowych nie zajęliśmy jeszcze czołowego stanowiska, lecz da się to wytłumaczyć znaczną młodszością kultury fizycznej u nas w stosunku do zagranicy. W każdym jednak razie jednostki takie jak Kostrzewski, Konopacka, Schabińska, Baran i inni stoją już na poziomie pierwszej klasy międzynarodowej i szanse ich w Amsterdamie są niemałe. Czytelnicy nasi napewno w pismach codziennych spotkali się już dawno ze szczegółami walk naszych lekkoatletów we Włoszech, a w Polsce z Czechosłowacją, Austrją i i., nie będziemy więc znanych szczegółów powtarzać tutaj, podobnie jak je pominiemy przy innych sportach. **Sport bowiem stał się już do tego stopnia popularnym, że każdy, a tembardziej młody nim się interesuje, o ile sam nie jest sportowcem.**

Stoi natomiast w miejscu pływanie. Jest to skutek braku zimowych pływalni, przez co nasi mistrze pływaccy nie mogą przez większą część roku uprawiać tego sportu. Pływalnie kryte są w Katotwicach i Krakowie, lecz jak dotąd nie wyszli stamtąd mistrze na miarę europejską. Jedynym wyjątkiem, który napawa nas lepszą otuchą, jest p. Róża Kajzerówna, która po przeprowadzeniu odpowiedniego treningu zimowego może dobrze pływactwo polskie zareprezentować w Amsterdamie. Z sił męskich nowych gwiazd niema. Kpt. Kuncewicz wytrwale pracuje nad zbliżeniem się do wyników międzynarodowych.

Nieco lepiej jest w drugim sporcie wodnym: we wioślarstwie. Tutaj i organizacja i same wyniki postąpiły tak dalece naprzód, że zajmujemy już dobre stanowisko na międzynarodowej arenie. Nie jest to stanowisko czołowe, lecz już z imieniem Polski zaczynają się wszędzie liczyć. Na przeszkodzie stoi znaczna kosztowność wioślarstwa, która nie dopuszcza do spopularyzowania go wśród szerszych warstw społeczeństwa. Miejmy jednak nadzieję, że i tu przy dalej idącej pomocy Rządu osiągniemy jeszcze lepsze wyniki. O zwycięstwie w Amsterdamie trudno naturalnie myśleć, gdyż poważne traktowanie wioślarstwa w myśl nowoczesnych pojęć datuje się w Polsce od niedawna, przyczem brak dobrych trenerów i trudność ich zdobycia, stojąca w związku ze znacznemi ich wymaganiami, są poważną przeszkodą do postąpienia naprzód. W każdym razie w ubiegłym sezonie notujemy pierwsze zwycięstwo polskie w biegu pierwszoklasowym jedynek w Gdańsku (A. Z. S. Kraków), dalej trzecie miejsce ósemki polskiej na mistrzostwach Europy w Como, i drugie miejsca na mistrzostwach świata uniwersyteckich w Pallanza w jedynkach i ósemkach. Są to wyniki już niezłe.

Trzeci sport wodny: żeglarstwo rozwija się najwolniej, gdyż jest najkosztowniejszem, a ma przecież niesłychane wprost znaczenie dla naszej słabej marynarki. W roku 1927 odbyto szereg poważnych wycieczek po Bałtyku.

Przechodzimy do sportów zimowych. Tutaj postęp był bodaj że najsilniejszy. Wyliczanie zaszczytnych wyników w konkurecnjach zagranicznych minęłoby się z naszym celem, wystarcza jeśli powiemy, że zbliżamy się do klasy europejskiej szybkim krokiem. Wprawdzie nie dorównujemy jeszcze sławnym Norwegom i wogóle krajom północnym, lecz wśród krajów środkowo-europejskich zajmujemy dobre miejsce. Do przygotowań olimpijskich zakwalifikowano szereg zawodników cywilnych i wojskowych, którzy po przejściu przez obóz przygotowawczy i po zawodach eliminacyjnych pojechali do Szwajcarji, aby tam bronić barw Rzeczypospolitej.

Gorzej jest w łyżwiarstwie. Jest to têm dziwniejsze, że łyżwiarstwo jest bodajże sportem, który pierwszy zdobył sobie prawo obywatelstwa w Polsce, a i dziś ma masy zwolenników. Niewątpliwie i na tem polu dojdzie do postępu.

Dobrą natomiast otuchą powinien nas natchnąć stan polskiego hockeja na lodzie. Sport ten, jeden z najmłodszych w Polsce, znalazł wielu zwolenników i organizatorów, którzy doprowadzili do tego, że polska drużyna reprezentacyjna będzie nieostatnią w Europie. W St. Moritz wprawdzie nie możemy myśleć o pierwszych miejscach, gdyż drużyny Kanady i Stanów Zjednoczonych stoją na niedosiężnym wprost poziomie, lecz o zajęciu dobrego miejsca myśleć możemy i musimy.

Będzie także Polska reprezentowana i w biegu bobsleigów. A to dzięki inicjatywie hr. Platera, który jedzie na własny koszt, a podczas długiego pobytu w Szwajcarji nauczył się kierować odpowiednio tak, że Komitet Igrzysk Olimpijskich zgodził się powierzyć mu reprezentację Polski w tym sporcie.

Jest jednak sport, w którym mamy „Asów" i to pierwszorzędnych. Jest to hippika. Stare tradycje kawalerji polskiej odżyły w dobie aeroplanów i automobilów. Wyniki naszych kawalerzystów w kraju i przedewszystkiem zagranicą, w Nicei, Lucernie i Nowym Yorku stawiają ich na pierwszem miejscu i marzyć pozwalają o tem„ że sztandar polski zawiśnie na maszcie olimpijskim w Amstrdamie. Sława ich jest tak głośna, że opisywanie ich triumfów byłoby powtarzaniem rzeczy wszystkim dobrze znanych.

Wystarczy jeśli powiemy, że kawalerzyści polscy, to chluba polskiego sportu.

Szybkim również krokiem idą naprzód kolarstwo i boks. Wprawdzie kolarstwo przechodzi, jak odnosimy wrażenie, lekkie przesilenie, lecz zwiększająca się popularność roweru, jako środka lokomocji, wcześniej czy później doprowadzi do podobnego rozrostu klarstwa jak we Frarncji. Wprawdzie na przeszkodzie stoi ostra zwykle zima i brak odpowiednich dróg, lecz to w miarę ogólnego postępu da się uzgodnić. Boks znalazł przyjęcie zwłaszcza w sferach robotniczych. Powstające kluby bokserskie rozwijają ruchliwą działalność, czego dowodem jest szereg zawodów, urządzanych prawie co tydzień. Z masy tej wyrosną kiedyś mistrze świata.

Cały szereg gałęzi sportu jest w zaczątkach. Nie omamiamy ich tutaj, ponieważ dadzą o sobie znać same, gdy ich działalność rozwinie się odpowiednio. Naturalnie jedne z nich przyjmują się łatwiej i prędzej, inne trudniej. Piłka siatkowa i koszykowa, hockej na trawie, polo konne, automobilizm, polo wodne, zapaśnictwo amatorskie, podnoszenie ciężarów, szermierka, rugby znajdują już rzesze zwolenników. Turystyka zaś tak wysokogórska jak po Pogórzu jest już nie sportem, lecz obowiązkiem ogółu. Trudno jest śledzić rozwój wszystkich gałęzi sportu naraz, jest ich już tyle i tak żywą rozwijają działalność, że jeden człowiek nie może się wszystkiemi zajmować. Trzeba sobie wybrać kilka najbardziej odpowiadających charakterowi danej jednostki i uprawiać je aż do osiągnięcia odpowiedniej normy. (C. d. n).

Na marginesie sezonu zimowego.

Od czasów Olimpjady w Chamonix, gdzie przegrywaliśmy z różnicą 50 minut, zrobiliśmy w sportach zimowych kolosalny krok naprzód.

Nie miało też granic zdziwienie Szwedów 28 i 29 z. m. w Krynicy, dokąd przyjechali zbierać laury, gdy się okazało, że zeszłoroczny mistrz Lwowa, Lindstroem, bijący Czecha w ub. r. o 9 minut, został pokonany przezeń o minut jedenaście. Rewolucyjna zmiana w klasie naszych czołowych narciarzy pozwala nam snuć najśmielsze nadzieje. Wprawdzie górują nad nami północni stylem i formą, ale w środkowej Europie jesteśmy jedynymi z najgroźniejszych konkurentów.

Wpłynęła na to w pierwszym rzędzie pilna i rzetelna praca w ośrodkach sportowych pod wytrawnem kierownictwem i przy współdziałaniu władz.

Zakopane, Krynica, to były etapy wykazania zdobyczy treningowych naszych zawodników. Ostatecznie ustalono skład reprezentacji do St. Moritz Wyjechali: Cukier, Czech, Sieczka, Z. Motyka, Wilczyński, Kuraś, Krzeptowski I, Rozmus, Krzeptowski II, K. Szostak, Mietelski.

Ograniczymy się do podania kronikarskich zestawień osiągniętych wyników na Olimpjadzie, odkładając obszerne sprawozdania no nast. numeru, kiedy będzie można objąć okiem całość dokonanych wysiłków.

Zaznaczyć jeszcze trzeba, że zawody młodzików w Zakopanem 28 z. m. wykazały, że nasz „narybek" zapowiada się pierwszorzędnie.

Nic też dziwnego, że postawa naszych zawodników w St. Moritz wzbudziła ogólne uznanie. Dowodem wielki **zaszczyt dla Polski: powierzenie przez narciarski kongres olimpijski mandatu organizowania wielkich zawodów międzynarodowych w r. 1929. Na naszym terenie własnym otwiera się perspektywa rewanżu w r. prz.**

Po Olimpjadzie drużyna nasza udaje się na Feldberg na zawody o mistrzostwo Niemiec.

Z St. Moritz.

Pierwsza przedolimpijska konkurencja narciarska **50 klm. bieg patrolowy** zakończył się zwycięstwem północnych. Złamana narta Zaydla na 10 klm. zadecydowały o puszczeniu przez naszych Czechów i Niemców przed siebie. Miejsca kolejne zajęły Norwegja (czas 3:50. 47), Finlandja, Szwajcarja, Włochy, Niemcy, Czechosłowacja, siódme Polska (4:33. 45), Rumunja, Francja. Czas naszych od Norwegów o 43 minut gorszy.

Bieg na 18 klm. Piąte miejsce za Norwegami i Finami zajmuje Br. Czech. 17-te Bujak, Motyka Zdz. 22, Krzeptowski II 24. Najlepszy Szostak łamie nartę.

W skokach w kombinacji najlepsze miejsce zajął Rozmus, uzyskując skoki ustane 56 i 57.

Hockey.

Sport ten stosunkowo u nas młody. A przecież zdołaliśmy zdobyć akademickie mistrzostwo świata w Cortinie. Do rozgrywek stanęły trzy drużyny: Austrja, Polska, Włochy. Wynik Austrja—Włochy 0:1, Polska—Austrja 6:0.

Olimpijscy hockeiści rozegrali rozgrywkę z najsilniejszym klubem szwajcarskim H. C. Davos. Wynik 1:1.

Opromienieni sławą tego matchu przybywają do St. Moritz. Pierwsza rozgrywka ze Szwecją 2·2. Stosunek strzałów 20:8 na naszą korzyść.

Przegrywamy jednak następną rozgrywkę z Czechosłowacją 3:2.

Światowe mistrzostwo w hockeyu wzięła bezkonkurencyjna Kanada.

Mistrzostwo Europy i drugie miejsce w świecie zajęła Szwecja, następne Szwajcarja, Anglja.

Zawody bobsleighowe. Pierwsze miejsce zajęła Ameryka I, następne Ameryka II, Niemcy, Argentyna. Polska na miejscu dwunastem.

Podróż polskiego skauta dokoła świata.

Jak wiadomo Jerzy Jeliński, polski skaut przedsięwziął oryginalną podróż... samochodem dokoła świata.

Podróż ta wzbudziła wielkie zainteresowanie pomiędzy sportowcami, tembardziej, że jest to pierwsza wyprawa skautowska, mająca na celu opasanie kuli ziemskiej polską flagą i zarazem pierwsza w świecie ekspedycja, która otrzymuje audjencje u szefów wszystkich państw, przez które przejeżdża.

Harcerz nasz przejechał już na swym samochodzie marki Ford pół kuli ziemskiej, przebywszy 36 tysięcy mil.

Po objechaniu całej Polski, zwiedził on Czechosłowację, Austrję, Węgry, Jugosławję, Włochy, Sycylję i Afrykę północną.

Obecnie Jeliński znajduje się w Ameryce, gdzie jest nadzwyczaj serdecznie podejmowany przez tamtejszą Polonję.

Cała prasa polska i angielska zamieszcza obszerne opisy jego podróży, bogato ilustrowane zdjęciami przedstawiającemi harcerza w różnych sytuacjach i przygodach, przyczem w każdem miejscu postoju p. Jeliński wygłasza po kilka odczytów, tłumnie uczęszczanych.

Dotychczas harcerz Jeliński jest członkiem 18 klubów automobilowych. Dzięki pomocy Polonji w Detroit dalszą podróż odbywać będzie samochodem ofiarowanym mu przez tamtejszych ziomków.

Po zwiedzeniu Stanów Zjednoczonych Jeliński przez Japonję, Australję i Indje powróci do Polski.



Z tegorocznych skoków na Krokwi.

Co słychać w Harcerstwie.

SKAUTING ZAGRANICĄ.

Rok 1928 — rokiem narodowych zlotów skautowych.

Łotwa. W celu uczczenia 10-letniej rocznicy istnienia skautingu na Łotwie został zwołany na czas od 20—30 VII. 1928 r. drugi łotewski zlot narodowy. Obóz zlotowy będzie położony na brzegu morza w pobliżu Rygi. Spodziewany jest liczny udział drużyn z całego kraju.

Norwegja. Skauci norwescy rozbiją 5-ty „Narodowy Obóz" w Romsdalen w dniach od 6 do 15 lipca 1928 r. Rozszerzyli oni swe początkowe poczynanie wysyłając zaproszenia do wszystkich organizacyj skautowych, które mają być reprezentowane przez drużyny liczące 40 skautów.

Węgry. Organizacja skautów węgierskich organizuje w porozumieniu z Międzynarodowem Biurem Skautowem „Konferencję Międzynarodową Skautów Morskich" w Tihany na jeziorze Balaton w dniach od 26 VII. do 5 VIII.

Taksamo jak konferencja poprzednia i ta zajmie się aktualnemi problemami skautingu morskiego.

Zawody będą miały podobny przebieg jak w Kopenhadze. Udział w nich mogą wziąć skauci powyżej lat 18.

Program zawodów, uroczystości, wycieczek i t. p. oraz porządek dzienny obrad konferencji zostaną wysłane w każdej chwili tym, którzy się konferencją zainteresują. Koszta wynoszą około 15 szylingów na głowę.

HARCERSTWO W POL. GIMN. W ORŁOWEJ NA ŚLĄSKU CZESKIM.

Harcerstwo do Orłowej zawitało dość wcześnie, bo w roku 1913 powstała tu I drużyna im. T. Rejtana, założona przez prof. Pollaka. Dzięki jego opiece praca drużyn należycie się rozwijała, zdobyto wkrótce wyekwipowanie i urządzano częste wycieczki, między innemi na Spiż i Orawę. Opis tej wycieczki znajdziemy w wspaniałej książce prof. Pollaka p. t. „Wyprawa śląskich skautów na Spiż i Orawę". Wojna światowa przeszkodziła w realizowaniu dalszych planów doskonale rozwijającej się drużyny.

Po wojnie nastąpił renesans pracy. Drużyna miała znowu swe „dobre okresy" zwłaszcza dzięki staraniom prof. Zieliny i Krzysztofa. Ilość drużyn podniosła się do trzech. Obecnie istnieje jedna drużyna, ciesząca się dużą opieką Dyrekcji Zakładu.

W KRAJU.

Kraków. Dnia 2 lutego b. r. odbył się opłatek instruktorski Hufców żeńsk. i męsk. i Hufca Podgórskiego. Zebranie zaszczycił obecnością dh. wiceprezes Z. O., F. Przyjemski, wicekurator Krak. Okr. Szkol. Po herbatce, urozmaiconej śpiewami i monologami, przeprowadził dh. Janusz Wojciechowski zajmującą gawędę na temat potrzeby propagandy harcerstwa w starszem społeczeństwie. Gawęda wywołała żywą dyskusję. Podobne zebrania mają dużą wartość i winny się częściej odbywać.

Odczyt p. t. „Harcerki Krakowskie w Jugosławji nad Jadranem" wygłosiła 3 lutego b. r. dhna hm. Braunowa, kom. Chor. Ż. Odczyt, bogato ilustrowany przeźroczami, był nadzwyczaj interesujący. Do wyprawy harcerek krakowskich do Jugosławji wrócimy jeszcze w przyszłości. Zarówno bowiem skłania nas do tego konieczność nawiązania przez naszą młodzież stosunków z innymi narodami słowiańskiemi, jak również i ten fakt, że warto zapoznać się z przykładem wytrwałości w realizowaniu swych zamierzeń, czego dała dowód Kom. Ż. Chor. Krak., doprowadzając ubiegłych wakacyj do skutku planową wyprawę, mimo szeregu przeszkód i braków materjalnych.

Ż. Chor. Krak. powiększyła się o 2 drużyny w Ropczycach i Myślenicach i liczy obecnie 54 drużyn w 20 środowiskach.

Katowice. Jak wiadomo Zarząd Oddziału śląskiego zorganizował w Polsk. Radju odczyty harcerskie, które raz na tydzień są wygłaszane przez członków obu komend harcerskich. Odczyty cieszą się sympatją harcerzy-radjosłuchaczy. Dowiadujemy się z nich o ogólnych wytycznych pracy harcerstwa śląskiego tak męskiej, jak i żeńskiej. A mianowicie odbywają się perjodyczne zebrania Ogniska instrukorskiego w Bielsku i Katowicach, kursy dla zastępowych w Rybniku, Mysłowicach i Katowicach. Dalej ma się odbyć kurs związany z odprawą drużynowych w Tarnowskich Górach. Zbliżają się kursa dla nauczycieli oraz kurs zastępowych w Lublińcu względnie w Kaletach. Bibljoteka komendy Chor. wzrasta. Pozatem Z. O. od 2 miesięcy celowo i systematycznie pod kierownictwem druha Łowińskiego — Maryśki porządkuje — powiedzmy szczerze — zakłada podwaliny gospodarki finansowej Oddziału Śląskiego. Wzorowe zamknięcie akcji letniej roku 1927 zostało ukończone. Wzory księgowości już przygotowano i zostaną wkrótce wysłane.

Jeżeli przyjrzymy się pracy Chorągwi Żeńskiej to musimy zaznaczyć, że wskazania ostatniego zjazdu (1-2 II) Komendantek Chorągwi w Warszawie — Chor. Śląska w czyn wprowadza, Zjazdowi temu przewodniczyła dhna Naczelniczka G. K. Ż. Marja Uklejska. Treścią referatów było 1) „Wychowanie społeczne w harcerstwie" 2) „O znaczeniu zobowiązań pieniężnych". Pierwszy wygłosiła dhna Bykowska, drugi dhna Wołowska.

Komenda Chor. Żeń. wypełnia te wskazania przez postawienie w programie pracy jako jednego z jej punktów założenie kas oszczędności przez wszystkie żeńskie drużyny na Śląsku.

Drugi dzień zjazdu poświęcono prawie w całości sprawom żeńskiego zlotu narodowego, który ma się odbyć od 5—20 lipca b. r. w Sulejowskich lasach na Pilicą, ku uczczeniu 500-letniej rocznicy śmierci Zawiszy Czarnego. Pierwszy to będzie żeński zlot tak w zupełności na łonie natury urządzony, gdyż poporzedni w r. 1924, który się odbył w pobliżu Warszawy, miał z tego powodu charakter raczej propagandowy. Ten ma być próbą naszej tężyzny organizacyjnej, próbą wartości naszych drużyn. Wymagania stawiane drużynom jadącym na Zlot są dosyć wysokie, to też tylko bardziej wyrobione drużyny będą mogły wziąć udział w tem wielkiem święcie harcerstwa żeńskiego. Z Chorągwi Śląskiej wybiera się 7 drużyn, około 180 osób, a nie jest to wcale mała cyfra w porównaniu z innemi chorągwiami.

Drużyna chcąca wziąć udział w Zlocie musi mieć przedtem własny przynajmniej tygodniowy obóz, kompletne wyekwipowanie polowe dla całej drużyny i poszczególnych harcerek, drużynową lub opiekunkę pełnoletnią, a wreszcie mogą brać udział w Zlocie tylko dziewczynki, które złożyły przyrzeczenie harcerskie. Każda drużyna na Zlocie bierze udział w całym szeregu zawodów obejmujących wszystkie działy pracy harcerskiej. Mimo tak wysokich wymagań, spodziewany jest udział w Zlocie około 2000 harcerek, a prócz naszych drużyn przyjadą polskie drużyny harcerskie z zagranicy, a także drużyny skautek innych narodów. Spodziewane są skautki z Belgji, Finlandji, Anglji, Szwajcarji, Ameryki, Rumunji. Polskie drużyny zagraniczne przyjadą prawdopodobnie z Czecho-Słowacji, Rumunji, Niemiec, Francji, Łotwy i Gdańska.

Wiele będzie można zobaczyć i skorzystać na Zlocie. By dopomóc swoim drużynom w przygotowaniach zlotowych, Komenda Ż. Chor. Śl. utworzyła komisję zlotową, kierującą pracami zlotowemi.

Żeński kurs nauczycielski harc. pracuje w całej pełni. Kurs wzbudził zainteresowanie władz naczelnych Zw. Dnia 14 b. m. przybyła z Warszawy Hm. Rz. M. Wocalewska, inspektorka Harcerstwa w Min. W. R. i O. P. i zwizytowała kurs.

Mała Dąbrówka. 29 stycznia odbyła się tu w I drużynie „Choinka harcerska". Nasamprzód odbył się przegląd przez dhnę Kom. Chor. Jordanównę, poczem „kolendę" odprawił miejscowy proboszcz ks. Koziołek. Dzięki staraniom p. Kułagowskiej, członka K. P. H., odbył się potem opłatek wraz z tańcami. Przerwy wypełniono występami tut. harcerzy. Wielką radość sprawiło przybycie druhen i druhów z chorągwi „Zagłębia".

Ziściło się nareszcie dawne życzenie, ażeby nawiązać ściślejszy kontakt z temi drużynami, że się to udało, jest to może największa zasługą drużynowych, którzy się starali owe dzielnicowe drużyny zbliżyć, dzięki temu też praca w tych drużynach się znacznie polepszyła. Na uroczystość św. Jerzego, którą drużyna rokrocznie obchodzi, zapowiedział swe przybycie cały Hufiec Będziński z Komendatem na czele

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.
Odbito w drukarni »Czasu« w Krakowie, pod zarządem Leopolda Wójcika.



Redaktor ma dużo do powiedzenia, ale nie stało mu już miejsca. Wprawdzie zapowiedział administracji, że musi powiększyć objętość numeru, ale narazie pozostawiono mu tylko nadzieję...

Pierwszy numer „Na Tropie" rozszedł i spotkał się z niesłychanem zainteresowaniem i przyjęciem.

Wszystkim też Czytelniczkom i Czytelnikom, którzy nadesłali nam życzenia i walnie przyczyniają się do rozpowszechniania naszego pisma — składamy serdeczne dzięki.

Szczególnie dziękujemy:

Dhowi prof. Drozdowskiemu w Katowicach, E. Kalinowskiemu w Małej Dąbrówce, Z. Klimowskiej w N. Sączu, P. Mynarskiemu w Białej, F. Nowakowskiemu w Płocku, E. Ryńskiemu, H. Schaierowi, J. Silbersteinowi, A. Starachowiczównej, Bolkowi Wierzbiańskiemu w Krakowie.

Wiemy, że są to nasi przyjaciele. A przyjaciół potrzebujemy, by zajmowali się kolportażem pisma i jednali nam prenumeratorów, bo im więcej rozchodzi się płatnych numerów, tem pewniejsze podstawy pisma.

Pragniemy, by nietylko drużyny, związki, czytelnie, ale jednostki kupowały nasze pismo.

Cieszymy się zawsze, jeżeli mamy możność służyć naszym Czytelnikom poradą. Zapewniamy, że nigdy z pytań ani nie śmiejemy się, tylko cieszymy się z wszystkich korespondencyj i okazywanego zaufania. Prosimy tedy zwracać się do nas we wszystkich sprawach was obchodzących. Pytania prosimy formułować krótko, a wyraźnie i nie ukrywać swego nazwiska. Redakcja rada wiedzieć, z kim ma do czynienia, ale nazwisk zdradzać nie będzie. To już będzie naszą tajemnicą.

Z powodu prac przedwyborczych, drukarnia nie była w stanie oddać nam numeru na 15. II. Dlatego też wydajemy go z datą 25 i odtąd stale będzie się pismo w tym dniu ukazywać.

Ema. Druż. 24: W wiadomej sprawie możemy narazie tyle tylko odpowiedzieć, że jeżeli chodzi o uzyskanie posady państwowej, to w zasadzie stale pierwszeństwo mają absolwenci szkół państwowych. Odpowiedzi na dalsze pytania możemy udzielić wtedy, gdy Druh wyraźnie nam napisze o jakie techniczne kursa Druhowi chodzi (z jakiego zakresu, w jakiem mieście). Czekamy zatem listu.

Kącik humoru.

Geometrja w obozie.

— Proszę druha! Proszę druha! — woła jeden z „wilczków" ułożonych pod wspólnym a wąskim kocem w namiocie.

— Co tam! Czego chcecie?

— Bo Józek mi zabiera całą połowę koca!

— No to cóż, przecież ci wystarczy drugie pół.

— Ale kiedy on chce, aby jego połowa była w środku, a ja żebym spał po obu bokach!

Rozwiązanie zagadek z Nru 1-go.

I.

O	m	a	r
m	o	d	a
a	d	a	m
r	a	m	a

II.

Lublin

III.

```
  d r a c h m a
k o r o n a
  l i r
f r a n k
  r u b e l
```

Rozwiązań nadesłano 180. Z tych trafnych było 33. Sąd dla zagadek i konkursów wylosował rozwiązanie Rudolfa Królikowskiego, II kl. Katowice — Ligota, który zgłosi się w Administracji po powieść Londona p. t. »Zew Krwi«.

Konkurs Robinsonowski.

Na wezwanie Redakcji stanęło do konkursu 303 osoby. Z powyższych, 202 rozwiązań sąd konkursowy odrzucił.

Zdobywcą nart jest **Wilhelm Machnik** z Wełnowca, radjoodbiornika, Żmuda Władysław z Wełnowca, ping-ponga Palica Ryszard z Katowic.

Ponadto 66 osobom przyznał sąd konkursowy jako nagrodę pocieszenia jednomiesięczną bezpłatną prenumeratę pisma i 9 osobom dwumiesięczną prenumeratę, o czem Administracja je listownie zawiadamia.

Wreszcie podajemy porządek wybranych 10 przedmiotów: 1) Źródło, 2) Topór lub nóż, 3) Owoce lub konserwy, 4) naboje, 5) Strzelba, 6) Palmy, 7) Zapałki, 8) Dom, 9) Pies, 10) krowa.

II. Wielki konkurs pisma „Na Tropie".

Czy widzisz te „miłe twarzyczki" na załączonym dodatku? Jest ich sześć, a każda innem uczuciem poruszana. Pierwsza zaś najwyraźniej uśmiecha się do Ciebie, abyś wziął udział w tym ciekawym konkursie.

Co masz czynić?

Jak widzicie, oprócz twarzy, załączonych jest sześć czapeczek białych, a sześć czarnych. Ażebyś mógł wziąć udział w konkursie, musisz znaleźć sobie kolegę, który zaprenumeruje „Na Tropie". Od niego wytniesz sobie i weźmiesz sześć czapeczek białych i przylepisz mocno na swoją kartkę, a on weźmie od Ciebie cześć czapeczek czarnych i także je sobie mocno przykleji na swoją kartkę, tak, że teraz Ty będziesz miał dwanaście czapeczek białych, a on dwanaście czarnych. Teraz możecie przystąpić do zgadywania. Obok twarzy znajduje się sześć miejsc pustych ponumerowanych od jeden do sześć. Musisz więc zaczynając od pierwszej twarzy i pierwszego miejsca napisać w miejscu pustem, co według Ciebie twarz wyraża, jakie jest na niej przedstawione uczucie. A więc np.: Na pustem miejscu Nr. 1 napiszesz jakie uczucie maluje się na twarzy Nr. 1 (np. radość, albo zadowolenie), na miejscu Nr. 2, co wyraża twarz Nr. 2 itd. Ale uważaj: wolno Ci napisać tylko jedno słowo, które według Ciebie najlepiej oddaje wyrazy twarzy, a nie kilka. Nie może to być także czasownik więc np. nie napiszesz, że pierwsza twarz się śmieje, a druga płacze, lecz napiszesz np.: 1 radość, 2 smutek itd. Twój kolega zrobi tak samo. Potem napiszesz dokładnie imię i nazwisko, wiek, adres swój i kolegi i zaznaczysz wyraźnie, kto kogo namówił. Wsadzicie obie kartki do jednej koperty i wyślecie pod adresem: Redakcja „Na Tropie" — Katowice, Mickiewicza 10. Ale spieszcie się, bo termin tylko do 1 kwietnia.

1-szą nagrodę: rakietę, lub buty sportowe, lub plecak i mundur, albo jakiś inny przedmiot sportowy, wartości **50 złotych** otrzyma ten, którego odpowiedź sąd konkursowy uzna za najlepszą.

2-gą nagrodę: piłkę Nr. 3 otrzyma jego kolega — wspólnik — który zamienił z nim czapeczki, choćby nawet odpowiedź jego nie była dobrą.

Oprócz tego 100 nagród pocieszenia!

Jest jeden warunek. Ty i Twój kolega musicie mieć zapłaconą prenumeratę z góry za numer trzeci i czwarty — inaczej twoje rozwiązanie będzie odrzucone.



Widok z Hali Gąsienicowej na Żółtą Turnię. fot. Wł. Miedniak

ZAGADKI.

I.

Zagadka rachunkowa. Liczby od 1 do 36 ustawić w ten sposób by dodane pionowo i poziomo dały pewną liczbę. Jaką? Wyszukać! Jako nagrodę: Za rozwiązanie tej zagadki redakcja przeznacza do wylosowania jedną książkę.

1	2	3	4	5	6	×
7	8	9	10	11	12	×
13	14	15	16	17	18	×
19	20	21	22	23	24	×
25	26	27	28	29	30	×
31	32	33	34	35	36	×
×	×	×	×	×	×	

II.

Spożywa próżniak; czyliż są w tem dziwy, że się na niego zaczają myśliwy.

Jako nagrodę za rozwiązanie zagadek II, III i IV przeznacza redakcja do wylosowania jedną książkę.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 15 marca.

III.

1	2	3	4	5	6	7	8	9
■	■	■	■	■	■	■	■	■
—	—	—	—	—	—	—	—	—
—	—	—	—	—	—	—	—	—
—	—	—	—	—	—	—	—	—
—	—	—	—	—		—	—	—
	—	—				—	—	—

Litery wstawione w miejsce kratek dadzą nazwę miasta w Holandji; w szeregach pionowych mamy nazwy miast 1) w Grecji, 2) w Sowietach (Z. S. S. R.), 3) w Turcji Azjat., 4) w Polsce, 5) w Niemczech Zach., 6) w Łotwie, 7) w Niemczech, 8) w Półn. Afryce, 9) w Hiszpanji.

IV.

1	×							
2		×						
3			×					
4				×				
5					×			
6						×		
7							×	
8								×

1 Państwo w Europie Półn.
2 Góra w tem samem państwie
3 Miasto przemysłowe polskie
4 Miasteczko we wsch. województw
5 Miasto w Polsce
6 Miasteczko w woj. wołyńskiem
7 Miasteczko w woj. lwowskiem
8 Miejscowość kuracyjna w Polsce

Litery w kwadracikach oznaczonych krzyżykami dadzą nam tytuł jednego, bardzo ciekawego pisma młodzieży.

„Na Tropie“ wychodzi 25 każdego miesiąca
Redakcja i Administracja: Katowice, ul. Mickiewicza 10 — Konto w P. K. O. 305.330
Oddział Redakcji: Kraków, Szewska 12. I p. „Len“
Cena numeru 50 groszy. Prenumerata dwumiesięczna 1·— zł., kwartalna 1·50 zł., półroczna 3·— zł., roczna 6·— zł.